Nr. 50. Lwów, Niedziela dnia 11. Sierpnia 1878 r. **Tom VII.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni **S. A. Krzyżanowskiego.**

Przyszłość Lwowa.

Zdarzają się w dziejach całego kraju lub miasta pewne wypadki, które tak jednemu jak i drugiemu nadać mogą nową ważność zmieniającą dotychczasowe warunki ich istnienia, a przynajmniej stanowczo wpłynąć na rozwój późniejszy. Do takich wypadków dla Lwowa policzyć musimy od dawna istniejący, a dziś bliski już urzeczywistnienia projekt połączenia kolei lwowsko-czerniowieckiej przez Tomaszów i Lublin z koleją Nadwiślańską łączącą w najkrótszej linii Warszawę, a zatem i całą południową wschodnią Europę z Gdańskiem.

O ile słyszeliśmy, zbudowanie kolei z Lublina do Tomaszowa i granicy galicyjskiej postanowione zostało przez rząd rossyjski, jako będące na czasie, wskutek czego rozporządzono rozpoczęcie przedwstępnych robót do tej budowy. Nie wątpimy, że i zarząd kolei tutejszej, posiadający już koncesyą na przedłużenie linii ode Lwowa do granic Królestwa polskiego, wie o tej decyzyi, i zacznie się krzątać około wprowadzenia w wykonanie owej koncesyi, mogącej znakomicie podnieść jej ważność i korzyści z nowo-otworzyć się mającej komunikacyi.

Nam w artykule niniejszym nie tyle idzie o sprawy lwowsko-czerniowieckiej kolei, ile o sprawę samego miasta Lwowa, który w ten sposób stanie się bardzo ważnym punktem handlowym dla południowych, a w części i wschodnich okolic Europy z jednej, zaś z morzem Baltyckiem z drugiej strony. Lwów, jako niegdyś prawie pograniczne miasto między wschodem a resztą Europy, za dawnych czasów rzeczpospolitej polskiej odgrywał bardzo ważną rolę w handlu zamiennym, która to ważność dopiero po rozdziale kraju polskiego i wyszukaniu nowych dróg handlowych skierowanych przez kraje pruskie odjętą mu została. Po przeprowadzeniu wzdłuż całej Galicyi kolei żelaznej Karola Ludwika była chwila, gdzie Lwów mógł znowu uchwycić w swe ręce rolę pośrednika między krajami leżącemi na południowym wschodzie Europy a zachodem, lecz nie mając ani świadomości dokładnej o swej ważności, ani sił potrzebnych do wzniesienia się na to stanowisko, pozwolił z rezygnacyą, że przysługujące mu z tytułu położenia swego atrybucye, przeszły siłą postronnej działalności w małej części do Krakowa, a w większej do punktów pogranicznych, jakiemi są Brody i Podwołoczyska, w przeważnej zaś do Prus, a mianowicie do Wrocławia.

Głównym przedmiotem owego handlu zamiennego, w którym Lwów powinien przeważny brać udział, są jak z jednej strony produkta surowe, szczególniej zboże i wełna ze wschodu i południa przewożone na targi Europy zachodniej, tak w odwrotnym kierunku wszelkie wyroby przemysłu fabrycznego i rękodzielniczego, w który te kraje rolnicze w najdrobniejszych rzeczach codziennego użytku w zachodnich krajach zaopatrywać się muszą. Lecz o ile wiemy, nie tylko sam Lwów, ale cała Galicya, a podobno i cała Austrya nie umiała korzystać z wydarzającej się sposobności pośredniczenia, jeżeli cyfry statystyczne urzędów cłowych rossyjskich, pokazują bardzo mały ruch handlu zamiennego między temi krajami, a są nawet lata, jak 1873, gdzie wywóz z Rossyi do Austryi przewyższał wywóz Austryi do Rossyi przeszło o trzy miliony rubli. Mając na swojem terytoryum jedyną dziś kolej żelazną, łączącą bezpośrednio Zachód ze Wschodem, mamy tę tylko przyjemność, że oglądamy przejeżdżające przez Galicyę towary z Rossyi do Prus i vice versa, a ładunki tych muszą być nie małe, jeżeli kolej Karola Ludwika tak piękne akcyonaryuszom przynosi dochody.

Nie chcemy wdawać się w głębsze sądowanie przyczyn podobnie bezmyślnego przypatrywania się działalności innych, bo by to zaprowadzić nas mogło dalej niż utarte u nas przekonania w tym względzie są rozpowszechnione, a zresztą nie możemy przesądzać opinii komitetu rozpatrującego się w przyczynach zubożenia kraju, którą zapewne na najbliższych posiedzeniach Sejmu usłyszymy. Konstatujemy tylko fakt tak rażąco odbijający wobec działalności w tym kierunku mieszkańców Królestwa kongresowego, zwracając uwagę reprezentantów Galicyi i reprezentantów Izb handlowych, że to wszystko istnieje. Nam idzie już nie o to co się stało, lecz o to co się znowu stać może, jeżeli Lwów zaniedba skorzystać z nadchodzącej sposobności zrobienia się potrzebnym i skutecznym pośrednikiem przy otwarciu najkrótszej drogi do Gdańska.

Transporta surowych produktów idące z pogranicznych okolic Wołynia i Podola rossyjskiego, z Bukowiny, Mołdawii i to z miejsc już niegrawitujących ku Dunajowi, następnie produkta idące z najurodzajniejszej części Galicyi wschodniej, nawet z północnych Węgier i okolicy Przemyśla, odrazu skierować się muszą do nowej drogi ku Gdańskowi i Lwowa ominąć nie potrafią. Cóż więc przeszkodzi naszemu miastu ująć w swe ręce ten główny węzeł sieci komunikacyjnych i skoncentrować w swoim obrębie cały handel, jeżeli już nie zamienny to wywozowy?

Sądzimy, że mężowie stanu galicyjscy, więcej kompetentni od nas, zrozumieją na razie tę ważność chwili, i poszukają w zasobach swej wiedzy i praktyki ekonomicznej środków odpowiednich, aby Lwów pokrzywdzonym nie został na korzyść albo jakiej pogranicznej z Kongresówką mieściny, albo na korzyść Warszawy, lub Gdańska, które z pewnością nie zaspią sprawy tyle ważnej dla swej przyszłości handlowej... O ile znajomość nasza w tym względzie pozwala, śmiemy postawić na pierwszym planie kilka warunków niezbędnie do tej materyi potrzebnych, a mianowicie:

Żeby Lwów mógł zostać tem na przyszłość, co mu Opatrzność zdaje się kłaść w ręce, a o czem poprzednio mówiliśmy, mieć więc już nie mówiąc o ludziach, których może da się odszukać u nas, przedewszystkiem:

1) odpowiednie i tanie kapitały, jako nervus rerum wszystkich spraw handlowych wobec konkurencyi.

2) gotowe składy na towar i to składy urządzone podług wymagań tegoczesnych potrzeb handlowych.

3) uwzględniające taryfy kolejowe nadające niektóre prerogatywy dla miejscowych stosunków.

4) giełdę zbożową, instytucye zastawnicze i wiele innych pobocznych urządzeń nadających miastu naszemu cechę dojrzałego już uczestnika w handlu europejskim.

O tych wszystkich warunkach pomówimy jeszcze następnie, dziś artykułem naszym chcemy tylko zwrócić uwagę publiczności galicyjskiej, że wypadałoby kwestyę przez nas podniesioną wziąć pod baczniejszą obserwacyą i niedopuścić, aby nadchodzące wypadki miały nas zastać wcale nieprzygotowanymi.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Wąwozem skalistym wzdłuż krętych brzegów rzeki, pędził pociąg kolejowy. Fantastyczne grupy skał ubrane w bujną zieloność migały przed oczami podróżnych, jak panorama przesuwana szybko. Gdzieniegdzie skaliste ściany rozstępowały się i za niemi widać było polany jasne wśród ciemnych świerków, chaty górskie czekoladowego koloru, pola uprawne zarosłe zbożem wszelkich odmian zieloności, co robiło zdaleka wrażenie takie, jakby kto kawałkami sukna połatał ziemię. I znowu nowe szeregi skał zasłaniały ten widok, otwierając dalej inny, niby obrazek w kamiennej oprawie. Znalazł się nawet jakiś zameczek w ruinie, którego obdarte mury przeglądały się w czystych zwierciadłach wody. Gdzieindziej znowu jakiś wodospad maleńki spadał po skale; spienione jego kędzierżawe wody wydawały się w odległości takiej, w której już szumu ich słychać nie było, jak pierze pędzone na dół podmuchem wiatru. Co chwila oko napotykało jająś nowość, niespodziankę, na całej przestrzeni, którą pociąg przebiegał, panowała wielka rozmaitość. To też podróżni cisnęli się do okien i przyglądali się z ciekawością i zajęciem okolicy. Z jednego okna wagonu pierwszej klassy wychylała się także dość często główka jakiejś młodziutkiej osoby, ubrana w elegancki, fantastyczny kapelusik, z pod którego wymykały się bujne włosy prześlicznego jasno-złocistego połysku. Twarzyczka była drobna, filgranowa, delikatna, nie tyle piękna klasycznym rysunkiem ile tym wdziękiem, który daje młodość i żywe usposobienie. Ruchy jej pełne były gracyi i swobody, znamionującej wielkie obycie się w świecie, a ubiór podróżny jakkolwiek prosty a nawet zaniedbany, bo składał się z szarego płóciennego płaszczyka i takiej sukienki, znać było, że wyszedł z pierwszego magazynu, tyle w nim było gustu i elegancyi. Ubiór ten zdradzał kapryśne, fantastyczne usposobienie swojej właścicielki, przesyt, który kazał jej szukać niezwyczajności w prostocie. A może też miała inny jeszcze cel, biorąc na siebie ten strój skromny. Może to była właśnie broń na zdobycie serca poważnego Jana.

Bo właśnie ta panienka, której główka tak często wychylała się z okien wagonu, to była Julia, a pociąg którym jechała, był zaledwie o parę stacyj oddalony od miasteczka w którem Jan przebywał.

Obok owej ruchliwej istotki siedział jakiś człowieczek w popielatym żakiecie, nie brzydki wcale, owszem twarz jego wyrażała dowcip a w oczach znać było dużo rozumu, mimo to robił wrażenie śmieszne, bo głowa jego tak nisko była osadzona między ramionami, że prawie po uszy w nich tonęła. Pochodziło to ztąd, że ów człowiek był garbatym, potwornie garbatym. Właściwie składał się cały tylko z tego ogromnego garbu, sterczącego z tyłu i z przodu, z którego wychodziły niezwyczajnie długie ręce i stosunkowo do całości także za długie nogi.

Mimo tej ułomności, w ubiorze jego była wielka staranność; wszystko na nim było według przepisów mody; garb na piesiach nie przeszkodził mu nosić odkrytego gorsu, na którym połyskiwały brylantowe szpinki, kamizelkę miał mocno wyciętą, spodnie w kratę dużą, a ręka jedna pomimo gorąca była w rękawiczce, druga rękawiczka spoczywała na kolanie, podczas gdy ręką oswobodzoną od niej, ręką białą, długą, gładził z flegmą hiszpańską bródkę.

Zdziwią się zapewne nie pomału czytelnicy, gdy im powiem, że tą karykaturą o eleganckich manierach i żurnalowym ubiorze był Leon. Z listów jego widać było, że to człowiek, któremu nie brak było ani rozumu ani dowcipu, który umiał trafnie sądzić innych. Tem też bardziej zastanawiało o niego to pretensyonalne ubranie, które jeszcze więcej podnosiło i uwydatniało szpetność jego postaci. Gdy go osoby, które stały z nim w poufałych stosunkach, zapytały nieraz bądź żartem, bądź seryo o to, dawał im tak rozmaite odpowiedzi, że trudno było z nich czegoś się dowiedzieć. Raz mówił, że robi to na złość naturze, która robiła wszystko co mogła, aby mu przeszkodzić być człowiekiem i ubierać się jak drudzy. Innym razem znowu, że za mało ma czasu na wymyślanie osobnej mody dla siebie; a nieraz utrzymywał, że robi to dla pokazania światu, że nie suknia człowieka, ale człowiek suknię szpeci. Pomimo tych dowcipnych tłómaczeń zdaje się, że naistotniejszym powodem tego niewolniczego trzymania się przepisów mody, była próżność, właściwa bardzo właśnie osobom upośledzonym od natury; takim ludziom najtrudniej uwierzyć w brzydotę swoją a przynajmniej zdaje im się, że są sposoby zakrycia jej przed ludźmi. Bardzo być może, iż i Leon nie był wolny od tej słabości, choć zresztą był to człowiek głębszego umysłu, zaprawnego szczypiącym dowcipem, właściwym garbuskom. W żartach nie oszczędzał nawet siebie; ale może dla tego śmiał się z siebie, aby się inni z niego nie śmiali. Był to rodzaj samobójstwa z obawy przed śmiercią za wyrokiem.

Obok garbuska siedział, a raczej przyklęknął jedną nogą na poduszce młody człowiek, którego z listu Jana znamy już pod nazwiskiem lalki z wystawy sklepowej. Był to rzeczywiście człowiek, zrobiony jakby na model. Trudno było dopatrzeć się błędu jakiego w całej postaci jego; wszystko było proporcyonalne niesłychanie, wszystko u niego ładne. Był szatyn, miał włosy bujne i miękkie, twarz najregularniejszego owalu, na której szkliły się duże, szafirowe oczy, nos rzymski, pod nosem jedwabny wąsik, pod wąsikiem karminowe usta, a pod karminowemi ustami znowu jedwabna hiszpanka. Ubiór jego, podobnie jak garbuska, był według ostatniej mody, obadwaj zdawali się rywalizować ze sobą w tym względzie, tylko, że kiedy garbusek wyglądał na karykaturę eleganta, Adolf przedstawiał najdoskonalszy okaz, — lalki z wystawy sklepowej. Wszystko na nim prezentowało się nadzwyczaj pięknie, okazale, mógł służyć jako najlepsza reklama magazynom krawieckim. Jednej rzeczy tylko brakowało temu człowiekowi, tj. duszy i wbrew katechizmowi składał się tylko z ciała i sukien. Mimo to w salonach odzywał się bardzo wiele i nieraz nawet zdarzyło mu się być dowcipnym. Był to jednak dowcip zwykle pożyczany, i w ogóle cała konwersacya jego w salonie wyglądała jakby wyuczona z jakich rozmówek drukowanych. Była to raczej maszynka do rozpowszechniania wiadomości połapanych od drugich; własnego nie miał nic, nawet pieniędzy. I tych pożyczał równie jak rozumu od drugich. Żył na łasce swego stryja, jakiegoś zrujnowanego barona, który nie mogąc mu sam wiele dopomagać wyrobił mu przez swoje stosunki i wpływy sinekurę w jakimś banku, która wystarczała mu na utrzymanie jego dorodnej postaci na stanowisku odpowiedniem urodzeniu i piękności. Był to kapitał leżący, który spodziewał się dość grubo spieniężyć. Zarozumiałość, nieodstępna towarzyszka głupoty, dodawała mu wiele nadziei i śmiałości w tym względzie. Obecnie przedmiotem jego starań była Julia, i szedł do tego celu ze spokojem, pewnością nieprzypuszczającą najmniejszych wątpliwości. Bo jakkolwiek Julia nieraz kaprysiła, traktowała go w sposób obrażający godność człowieczą, Adolf w zarozumiałości swojej nie brał tego nigdy na seryo, dość mu było spojrzeć w zwierciadło, aby uwierzyć, że Julia musi być szalenie w nim zakochaną. To przekonanie nie zachwiane niczem skłoniło go, że pomimo wyraźnej niechęci Julii, postanowił towarzyszyć im do kąpiel i miał zamiar zakończyć tam konkury swoje formalnem oświadczeniem się.

Ojciec Julii dość łaskawem patrzał na niego okiem, choćby dlatego tylko, że był siostrzeńcem barona, którego wpływu nieraz potrzebował Naderman do swoich interesów. Interes bowiem stanowił u niego wszystko; przynajmniej za takiego uchodził w świecie. Miano tam respekt dla jego ogromnej fortuny i finansowych zdolności. Wprawdzie na giełdzie wiedeńskiej różnie o tem mówiono, byli tacy, którzy utrzymywali, że zaplątał swoje kapitały w tak ryzykowne przedsiębiorstwa, że z nich może wyjść milionerem, ale także i nędzarzem, i z tego powodu kredyt jego był ograniczony; ale w salonach, na których bywał z żoną i córką, nie badano tak ściśle jego interesów i nie wątpiono w jego miliony, zwłaszcza, że bankier zachowaniem się umiał obudzić uszanowanie dla siebie i swojej fortury. Sztywny i zimny zawsze, z twarzą wygoloną starannie, wyjąwszy dwóch paseczków mocno już szpakowatych faworytów, które dochodziły do połowy twarzy, miał minę męża stanu, możnaby go było wziąć za ministra. Niczem się nigdy nie mięszał, niczem nie zachwycał, twarz jego była zawsze spokojna, jak marmurowa maska z zastygłym jakimś jałowym uśmiechem. Spojrzenie zamyślone, nieco dumne, wstrzymy-

wało nawet bliskich znajomych od zbytniej poufałości. Jedynie w kółku rodzinnem wolniała nieco ta sztywność finansisty. Względem żony był nadzwyczaj uprzejmy, nie tyle może przez uczucie dla niej, ile przez szacunek dla jej arystokratycznego pochodzenia. Dla córki zaś pobłażliwość jego dochodziła aż do słabości, kapryśne dziewczę robiło z nim co chciało. Ta cała wyprawa w odludny zakątek Galicyi, była, jak wiemy, jej pomysłu. Ojciec poddał się temu zachceniu bez względu, że go to odrywało od interesów. O matce już nawet mówić nie trzeba. Ona była nie już zakochana, ale zaślepiona w swojej jedynaczce. Podziwiała jej eleganckie ułożenie, artystyczne upodobania, dowcip, nawet wady jej ubóstwiała i dumną była z tego, że się jej tak udała córka. Niczem były dla niej największe poświęcenia, ofiary dla zachceń córki. To też i teraz jadąc, nie miała czasu nawet myśleć o tem, jakie nudy czekają ich w podkarpackim zakątku po gwarnem życiu stolicy, bo zajęta była tylko swoją pieszczotką i cieszyło ją, że była w humorze takim, jak rzadko. Ile razy Julia odezwała się lub rozśmiała, matka z rozkosznem zadowoleniem i admiracyą poglądała na nią czułem spojrzeniem, a potem zwracała się do męża, jakby mówiła: słyszałeś? patrz tylko na nią, ach, cóż to za lube dziecko. Bankier wtedy zaproszony na te rodzicielskie gody wymownem spojrzeniem małżonki, podnosił oczy od paznogci, które z zajęciem obrabiał pilnikiem, spoglądał na Julię, potem na żonę: uśmiechał się zadowolniony i powracał znowu do paznogci i do myśli swoich.

Oprócz tych wymienionych osób było jeszcze w wagonie parę zgrabnych kuferków ręcznych, torebki podróżne, z których jednę wypchała troskliwość rodziców samemi cukrami i ciastkami, aby jedynaczka, broń Boże, nie umarła w drodze z braku wiedeńskich przysmaczków. Resztę miejsca w siatkach przeznaczonych na rzeczy zapełniały okazałe bukiety, któremi znajomi i znajome zasypały ją na pożegnanie według przyjętego zwyczaju.

Julia myślą i oczami była ciągle zewnątrz wagonu, czasem tylko zwracała się w głąb, aby się podzielić jakiemś wrażeniem lub rzucić pytanie.

— Jak tu pięknie, dziko, romantycznie — mówiła przysiadając na chwilę na ławce — prawda? Ale ciebie ojczulko to widać nie bawi.

— Antoni, Julcia mówi, że cię to nie bawi — powtórzyła matka mężowi, któremu czy paznogcie czy myśli nie dały słyszeć odezwania się córki.

— Niby co takiego? — spytał jakby budząc się z zamyślenia.

— Nic nie zachwycasz się temi widokami.

— Ale, owszem, zachwycam — rzekł poważnie i spojrzał w okno — bardzo ładne, bardzo ładne.

— Ale tu, tu jeszcze ładniejsze — mówiła wskazując na drugie okno.

Ojciec obrócił się w tę stronę.

— A prawda, jeszcze ładniejsze.

Julia stanęła znowu w oknie dla nabrania nowych wrażeń.

— Ciekawam — mówiła nie obracając się — co tam być może nad tym zielonym lasem, czy to skały, czy jakie ruiny zamku?

— Gdzie, pani? — spytał Adolf zbliżając się do okienka.

Odwróciła się prędko ku niemu i zmierzywszy go gniewnem spojrzeniem rzekła:

— Ja się nie pana pytam. Mówiłam panu, że słówka nie odezwę się do pana.

— A jednak pani mówi — odezwał się Adolf i rozśmiał się zadowolniony z tego co powiedział. — Przynajmniej mówi pani, że nie mówi. — I tu znowu rozśmiał się ze swego konceptu.

Julia mierzyła go wciąż wzrokiem zadąsanym.

— Jesteś pan szkaradny, niecierpię pana za to, żeś pan śmiał jechać z nami wbrew mojej woli.

— Ależ wszak mówiłem pani, że jadę w interesie bankowym, dla zakupna progów kolejowych; a że przypadkiem tak się zdarzyło, że i państwo w tym czasie wybrali się w drogę, to tylko mam zawdzięczać mojemu szczęściu.

— To szczęście stanie się początkiem pańskiego nieszczęścia.

— Antoni, słyszałeś? Jaka ona paradna — odezwała się bankierowa i powtórzyła mężowi wyrażenie się córki.

— Pan się śmiejesz? Nie wierzysz pan?

— Bo nie mogę wierzyć, aby pani była tak okrutną i potępiała mnie za to, że pragnę jak najdłużej widzieć panią.

— Masz pan dosyć czasu napatrzeć mi się w Wiedniu, rozumiesz pan?

— Tu, w tem otoczeniu dzikiej romantyczej natury wydajesz się pani jeszcze piękniejszą — powiedziawszy to pogładził się po bródce za to, że mu się tak udał ten komplement. Przy tej sposobności błysnął na małym jego palcu dyamentowy pierścionek przeznaczony widocznie na zamianę z przyszłą narzeczoną. Musiała go dopiero teraz spostrzedz Julia, bo widok ten rozdrażnił ją.

— A raz jeszcze powtarzam panu, że nie chcę abyś pan z nami jechał i jeżeli pan na najbliższej stacyi nie wysiędziesz, to jak mamę kocham, słyszysz pan, jak mamę kocham, nie chcę pana więcej widzieć na oczy.

— Ależ Julio — zawołała mama rozczulona, że jej imienia użyła na to sakramentalne zaklęcie.

— Powiedziałam już, masz pan do wyboru. Pamiętaj pan, że powiedziałam jak mamę kocham.

— Jaka ona przedziwna — mówiła mama zachwycona.

Wtem rozległ się świst lokomotywy.

— Może to już ta stacya, gdzie mamy wysiadać? — spytała zaniepokojona i spojrzała na Leona siedzącego w milczeniu naprzeciw niej.

— Nie jeszcze. Mamy jeszcze dwie stacye do przebycia.

— Dwie stacye jeszcze? Ach, jak ta kolej powoli się wlecze. A tu takie gorąco.

Wzięła w rękę chiński wachlarzyk i rzucając się niedbale na siedzenie poczęła się nim wachlować.

— Może przejesz cukierka? — spytała troskliwie matka biorąc za torbeczkę.

— Ach, dziękuję mamie, już przesyciłam się temi słodyczami. Ale wody tobym się napiła.

— Wody, wody, panie Adolfie, postaraj się pan o wodę dla Julii.

— Poczekajcież państwo niech pociąg stanie, bo jak Adolf złamie nogi, to nie będzie mógł przynieść wody — odezwał się Leon i zatrzymał zbyt gorącego Adolfa, który z prawdziwie kawalerską galanteryą chciał co tchu otwierać drzwiczki choć pociąg jeszcze nie stanął. Może być, że tylko zrobił taki ruch gotowości i był pewnym, że znajdzie się ktoś rozsądniejszy, co go zatrzyma; w każdym razie to odważne znalezienie się, nie źle go zarekomendowało w oczach Julii. Znać to było po łaskawem spojrzeniu, jakie na niego rzuciła.

— No, teraz możesz bez szkody nóg spełnić jedną z cnót ewangielicznych — odezwał się Leon puszczając Adolfa kręcącego się niespokojnie.

— Czy może pani woli lemoniady? — spytał Julii wysiadając.

— Ależ nie, czystej wody — odrzekła niecierpliwie.

Adolf w jednej chwili zniknął i niebawem ukazał się, niosąc z bufetu szklankę wody. Za tę przysługę dostał spojrzenie pełne wdzięczności.

— Jest i piwo, podobno wcale nie złe, możeby pan radca?

Słowa te odnosiły się do bankiera, który miał rzeczywiście tytuł jakiegoś radcy.

Bankier skinął poważnie głową i podziękował odmownie.

— A może ty Leonie?

— Wszak wiesz, że piję wody i to jeszcze takie wody, którychby mi nawet gęś nie pozazdrościła. (C. d. n.)

EMILIO CASTELAR.

Niesłusznie wyrzekamy na dzisiejsze czasy, zwąc je wiekiem egoizmu i prozy. Nie braknie i dziś zaiste ani ludzi wielkiego charakteru i wielkiego poświęcenia, ani ludzi wielkiego zapału, którzy niedoścignione ideały poezyi w życie wcielić usiłują.

Potomność sprawiedliwiej nas może osądzi. Może wręcz przeciwne wyda świadectwo temu, które my wydajemy o sobie. Nie jest to paradoksem historyozoficznym, że w każdym wieku wyrzekano zwykle najbardziej na te właśnie ujemne ducha kierunki, które moralne wieku poczucie najpowszechniej potępiało, które zatem mniej owej, niż którejkolwiek innej były epoki charakterem. — Nie utyskiwano na fanatyzm wówczas, gdy fanatyzm wspólną wszystkich obozów i wyznań był cechą. Nie potępiano zaborczej polityki w czasach, gdy polityka zaborcza była jedyną o jakiej miano pojęcie. Nie podnosiły się chyba wyjątkowe głosy przeciw niewolnictwu, gdy niewola powszechną była instytucyą. — A biorąc przykład z polskiego społeczeństwa, i u nas oligarchowie i jezuici wichrzą wtedy najbardziej, gdy huczą dokoła przekleństwa na demagogią i bezbożność wieku. — Gdy naród grzęźnie w najstraszniejszej apatyi, gdy ogół inteligencyi polskiej kwietystycznym hołduje programom, wtedy to właśnie najczęściej z całą zaciekłością bryzgają mu w oczy samozwańczy lekarze nikczemnem szyderstwem na wrzekomą jego niewczesną pochopność do patryotycznych porywów. — Tak jest i tak bywało. Tak u nas i w całej Europie tak samo.

Fałszywych proroków, niepowołanych lekarzy społeczeństwa, sędziów samozwańczych, była i będzie zawsze moc niezliczona. Uprzedzają oni zawsze wyroki dziejów, a w fałszywem bo jedno-

*

stronnem przedstawiając świetle stan moralny swego narodu i wieku, wykrzywiają często na długie lata wyobrażenia krótkowidzących i łatwowiernych historyografów, którzy ich tendencyjne świadectwo za bezwzględną poczytują prawdę. — Cześć tym, którzy umieją wznieść się po nad moralny poziom swego społeczeństwa i nieuprzedzonem okiem objąć obraz jego całości; ci tylko lekarzami jego być godni i proroczem słowem wskazywać mu mogą przyszłość; tych tylko jako wiarogodnych świadków wysłucha kiedyś historya, ta nieśmiertelna sędzini narodów i wieków.

Jaki sąd wyda historya o drugiej połowie XIXgo stulecia, niepodobna współczesnym przewidzieć. W każdym razie wykaże ona niemało w współczesnej nam ludzkości posągowych postaci, wielkich mężów wielkiego serca — wykaże dłuższą może niż w niejednym poprzednim wieku, dłuższą w Europie listę tych znakomitych mężów stanu, których celem i dążnością życia było urzeczywistnienie jakiejś wielkiej, niesamolubnej idei, nadanie żywych kształtów wyśnionemu przez poetów ideałowi, wcielenie humanitarnej lub humanitarno-narodowej aspiracyi w realne świata stosunki.

Tak jest! delecy bądźmy od optymistycznych mrzonek, nie wyrzekajmy jednak na nasz wiek XIXty, na upadek moralnego poczucia, na brak szlachetnych między współczesnymi postaci, kapłanów nieśmiertelnej idei, wielkich patryotów i miłośników wolności. — Nie brak w naszej epoce mężów, których imiona potomność złotym zapisze rylcem.

Jedną z najsympatyczniejszych i najszlachetniejszych postaci między znakomitszymi mężami stanu na zachodzie Europy jest niezaprzeczenie były prezydent republiki hiszpańskiej, *Emil Castelar.* — Charakter to czysty, tak czysty, że jego nawet nieprzyjaciele w szarpanej namiętnościami stronnictw politycznych ojczyźnie, skazy znaleść nie mogą w jego życiu. Zwą go mistykiem, marzycielem, poetą, utopistą, doktrynerem — ale przed charakterem jego i czystością zamiarów uchylają czoła.

Być może, że w ich zarzutach wiele prawdy, ale niemniej przeto przyznać należy, iż mimo mistycyzmu, marzycielstwa i doktryneryi, które mu zarzucają, przerósł on swoich przeciwników nietylko charakterem i wielkością duszy, ale przerósł ich o głowę jako mąż stanu pod względem trzeźwości poglądu i jasnego zrozumienia potrzeb narodu a niebezpieczeństw grożących ojczyźnie. Doktrynerya jego większą ma wartość praktyczną i od zaśniedziałych tradycyj i od anarchicznego utylitaryzmu, które na przemian wichrzą Iberyjsim półwyspem. Marzycielstwo Castelara, mimo mistycznego nieraz nastroju jego ducha, bardziej jasnowidzące od uprzedzeń wiekowych, wstecznictwa i ciasnoty poglądu jego przeciwników.

Jeżeli mało jest znaną publiczności polskiej działalność jego na polu politycznem, to już o jego pracach naukowych, o ile mi wiadomo, żadne pismo polskie nie zamieściło nawet pobieżnej wzmianki; mowy jego, arcydzieła nowożytnej sztuki oratorskiej, tłumaczone na wszystkie europejskie języki, nie doczekały się dotąd polskiego przekładu *) a o literackich jego utworach mało komu u nas wiadomo.

A jednak Castelar, najznakomitszy może naszych czasów mowca, jest oraz jednym z najlepszych dziś w języku „kastylskim“ autorów. Nie dość na tem; jest to pisarz tak oryginalny pod względem poetycznej obrazowości i południowego kolorytu swych myśli, szczególnej barwności i bogactwa stylu, że w tej mierze nieudałoby się może znaleść mu w całej Europie godnego między współczesnymi współzawodnika.

Styl jego dziwnie sprzeczne łączy w sobie cechy, które w innym autorze niewątpliwie w dysharmonijną splątałyby się w sprzeczność. — Styl jego, to misternie z marmuru rzeźbiona koronka gotyckiej rozety wspaniałego tumu, przez której różnobarwne szyby przegląda gorące słońce Hiszpanii. Styl jego, to jakby najbujniejszą roślinnością pokryta łąka zapirenejskiej jego ojczyzny, gąszcz jaskrawych kwiatów południa o aromatycznej woni, pstra łąka opromieniona blaskiem południowego słońca, owiana gorącą atmosferą, którą w dole pieniąc się rwący przecina strumień, nad którą w górze jaśnieje przejrzyste niebo bez chmur.. Filozoficzna głębokość spostrzeżeń i myśli obok dziwnie fantastycznej obrazowości języka; świetny rysunek pełen niby artystycznego w kompozycyi zawikłania, a jednak rysunek o dziwnie jasnych i wyrazistych konturach, nieporównanej często w architektonice prostoty. Tęczami opalu mieniący się wiecznie koloryt, a pełna harmonii całość malowidła — rzecz godna zaiste podziwu.

Andaluzyanka w bogatym świątecznym stroju o jaskrawych barwach, niezliczonemi obszytym świecidłami i ozdobami bez miary, z furczącemi w powietrzu wielobarwnemi wstążeczkami, kształtna, giętka, wiotka, zgrabna w każdym ruchu, co chwila z niezrównanym wdziękiem zmieniająca pozę pełną dramatycznej ekspresyi — mimo tego zbytku ornamentów i nieledwie scenicznej na pozór postawy, swobodna, uroczą oddychać się nam zdaje prostotą — a to, coby rażącem było w córze północy, u niej w pełną harmonii zlewa się całość.

Takim jest styl Castelara.

Jak niepokonaną dla tłumacza przedstawia on trudność, ten tylko mógłby osądzić, ktoby się pokusił o przyswojenie ojczystej literaturze którego z utworów hiszpańskiego pisarza.

Chcąc podać czytelnikom naszym próbkę nieznanego dotąd w polskim przekładzie autora, który tak świetną w ojczyźnie swojej odegrał już rolę, pokusiliśmy się o przetłómaczenie jednego obrazka z jego dzieła: *Recuerdos de Italia.* Są to luźne wspomnienia z czasu pobytu Castelara we Włoszech, z których każde tworzy osobną artystyczną całość. Wybraliśmy „*Cmentarz Pizański*“ z powodu zamieszczonej w nim serdecznej wzmianki o Polsce.

Wspomnienia te pisał Castelar w r. 1867. Był on wtedy wygnańcem, skazanym zaocznie na haniebną karę śmierci przez *garrotę*, t. j. zaduszenie jarzmem, karę będącą naówczas jeszcze w użyciu w jego nieszczęśliwej ojczyźnie.

W rok później zajmował on już krzesło deputowanego w Madrycie. — Wkrótce potem, t. j. po abdykacyi króla Amadeusza, zasiadł na ławie ministeryalnej, zkąd do najwyższej w republice godności powołanym został.

I od czasu jego powrotu z wygnania dziesięć lat upłynęło zaledwie — a Castelar znowu wygnańcem. — Zbrodniczym zamachem generała Pavii na rzecz Serrana dokonanym, bannitą stał się z przewodnika wolnego narodu. I jako owoc powtórnej po Włoszech tułaczki wyszła z końcem roku przeszłego druga część jego „*Wspomnień*“, nieustępująca w niczem części pierwszej, z której podajemy jeden rozdział naszym czytelnikom.

M. Polnicz.

Cmentarz pizański.

z wspomnień Emilia Castelara.

Nigdybym nie był uwierzył, że jest gdzie na świecie miasto bardziej zaumarłe niż Toledo. Nie znałem Pizy. Przyznać muszę, że różnica dwóch tych przepysznych grodów olbrzymia. W Toledzie obok budowli cudownie utrzymanych, jak n. p. katedra, inne prawie w gruzach, jak *San Juan de los reyes* albo pałac Karola Vgo. Ponury widok ruin usprawiedliwia tam wyludnienie miasta. W Pizie inaczej: tu wszystkie pomniki stoją nie naruszone w całości, utrzymane starannie, niektóre z nich wybielone i odmłodzone świeżą restauracyą, większa ich część pomalowana żywemi barwami. A jednak — nie starczy wyrazów aby skreślić opustoszenie jakie tam panuje. Rzekłbyś, że te pałace oczekują mieszkańców swoich, gotowe na ich przyjęcie; a mieszkańców jak nie ma tak nie ma. W sam dzień mego przybycia — było to w maju około godziny drugiej — zatrzymałem się na głównym moście *Lungarno*: sam byłem, samotny, zapewniam was, sam jeden. Nieledwiebym mógł był uwierzyć, że rozległy ten gród dla mnie stoi samego i żem ja jednym jego mieszkańcem. Cóż to za przepyszna siedziba dla samoluba! — Smutno było, niewymownie smutno patrzeć na te dwa w szerz rozciągające się rzędy wspaniałych budowli, ozdobnych domów, na tych mostów tyle, szerokie te chodniki, na tę wytworną wszędzie czystość; w głębi rzeka — niebo uśmiechnięte pogodą — bujne drzewa z lekka kołysane świeżym od morza wietrzykiem... i nie masz nikogo, zgoła oprócz mnie, ktoby podziwiał te wszystkie cuda w tem miejscu czarownem i o tej godzinie. Krzyknąć miałem ochotę — zawołać, byłem tego pewny, że echo mi tylko odpowie. — Cudzoziemiec jakiś założył się był, że przejedzie się konno po mieście i nikogo nie spotka; — wygrał zakład. Rosyanie i Anglicy, którym zima na północy potargała płuca, szukają w Pizie schronienia, aby o dni kilka życie przedłużyć w tem zaciszu zakrytem górami od wichrów północnych, w tej pustce, która od wszelkich gwałtownych wrażeń zabezpiecza. Od czasu do czasu spotkasz tam tedy jakie dziewczę, niekiedy rzadkiej piękności, z temi pełnemi gorączkowego rozmarzenia i dziwnego blasku oczyma, jakie mieć zwykli suchotnicy; a obok idą krewni — posępni, chmurni, jakby szli za pogrzebem i opłakiwali niepowrotną stratę ukochanej osoby, którą im śmierć nieubłagana już wydarła. Wszystkie te szczególne właściwości Pizy składają się razem w jeden obraz smutku, który usprawiedliwia daną jej nazwę „umarłego miasta.“

A jednakże były czasy gdzie jej wolność była podziwem Włoch, gdzie jej handel świat zdumiewał; była epoka, w której morze u bram miasta składało daniny Korsyki i Sardynii; pizańskie okręty przewoziły krzyżowców do Azyi,

---

*) Wielką oddałby usługę ojczystemu piśmiennictwu, ktoby się podjął tego zadania i przetłómaczył przynajmniej sześć jego mów najznakomitszych: *O monarchii i republice: Za wolnością sumienia; Przeciw Burbonom; O prawach człowieka; Za wolnością wyznań; Przeciw niewolnictwu.* — Z naukowch prac na szczególną zasługują wzmiankę słynne jego odczyty, które miał w akademii uczonych jako profesor historyi w uniwersytecie madryckim: „*O cywilizacyi w pierwszych pięciu wiekach chrześciańśtwa.*“ — Prace zaś publicystyczne Castelara mieszczą się po większej części w wydawanym niegdyś przez niego dzienniku: „*Democracia.*“ — W przeszłym roku wydał on broszurę: „*La Cuestion de Oriente*“, w której podobno jest także mowa o kwestyi polskiej.

Przyp. Aut.

wracając ładowne złotem, purpurą i kością słoniową; pizańscy wojownicy spieszyli na pomoc, to niemieckim cesarzom przeciw papieżom rzymskim, to w odsiecz hrabiom barcelońskim przeciw maurytańskiej Majorce; korsarstwo drżało przed potęgą Pizy; połysk jej włóczni aż na brzegach afrykańskich straszył Saracenów, a kolumny i marmury, dalekich wypraw zdobycze, świeciły jak trofea pierwszego sztuki tryumfu. Wtedy to, ostatnich mistrzów bizantyńskich mozaika barwnym kamieniem zdobiła łuki jej pomników; wtedy to oni pierwsi malarze, którym się udało odkryć tajemnice rysunku, życie tchnęli w jej mury i klasztory, kreśląc mistyczne na nich postacie; wtedy to żydzi, opieką pełnego tolerancyi prawa zwabieni, z swemi bogactwy ściągali do niej; wtedy to Mikołaj i Jan z Pizy, kowając z marmuru białe posągi, do snów najpierwszych nowego natchnień wieku podobne, budzili do życia mistycznych pokutników światłem nowej idei, wpierw nim światu zabłysła — niby ptacy, którzy wśród nocnego mroku zapowiadają świtanie dnia. Wolność Pizy zrodziła jej handel; handel przyniósł bogactwo; dostatek pociągnął za sobą rozwój sztuk pięknych i umiejętności. W XI. wieku za pomocą maszyny Buschetta tak wielkie tu podnoszono ciężary, że zaledwie nowożytna mechanika podołaćby mogła temu zadaniu. W Xtym lekkie pizańskie okręty o małowniczych latyńskich żaglach, jawiły się w średniowiecznym mroku jakby czarowne zjawisko starożytnej Indyi; lśniącym strojne jedwabiem — przepychem i grą kolorów zmuszały zdziwionych widzów marzyć o tych jedwabi kolebce. Egipskie węże obejmowały pierścieniem z bronzu granitowe kolumny, a hipogryfy greckie rozkładały skrzydła obok bizantyńskiej rotundy. Tysiące robotników roiło się w przystani a zasadami wolności przyświecały miastu jego ustawy. — Republika nie żyje — a Piza trupem dzisiaj. Toż nie dziw może, że najznamienitszym jej pomnikiem— jest cmentarz. U szczytu jeszcze będąc swej chwały, przeczuła snadź Piza, jaka przyszłość ją czeka, i wzniosła budowlę najodpowiedniejszą smutkowi dalszych jej dziejów: *Campo Santo.*

I w pośród ciszy wyludnionego miasta, przerywanej zaledwie wibracyą fal powietrznych trącanych morskiemi podmuchy, sposępniały na duszy, jakbym czuł padające na nią cienie śmierci, poszedłem zwiedzić wspaniały ten pomnik, gdzie tyle głębokich miałem doznać wrażeń i gdzie pouczyć się spodziewałem niemało. Miejscowość cmentarza największem w całem mieście otoczona pustkowiem. Napróżno lazurowe szczyty wyniosłych gór pizańskich piętrzą się w eter świetlany przejrzystego nieba; napróżno bujna wegetacya wiosenna powodzią kwiatów, motyli i ptasich gniazd, zbytkownej szaty swej fałdami pokrywa nawet tam w górze nagie głazy na smukłych wieżyczkach tych murów; — napróżno wspaniałe baptisteryum, tuż w pobliżu *Campo-Santo,* jakby wyniosła rotunda podziemnej jakiej świątyni, stroi się w deseń rzeźbionej swych filarów koronki; — napróżno biała pochyła wieża, jakby olbrzymich rozmiarów kolumna, dźwięczy przenikliwemi dźwiękami swych dzwonów — katedra w nieprzeliczone ubrana klejnoty rozbrzmiewa nutą psalmową; napróżno zmawia się wszystko aby świadczyć o życiu: — wszędzie wyrastają pokrzywy na całym tego pustkowia obszarze, przypominają śmierć i wywołują w duszy smutne o śmierci rozpamiętywania.

Cmentarzysko stanowi gmach duży, ponury, o wysokich murach a wązkich drzwiach: niby marmurowy całego ludu sarkofag. Faraonowie egipscy, rzymskie Cezary, Satrapowie Wschodu wznosili piramidy, warownie, góry sypali, aby przed oczyma świata ukryć widok robactwa toczącego ich purpurę i ich zwłoki, ale żaden z tych wspaniałych pomników, w których despoci po za wrota śmierci przeciągnąć chcieli dumną swego życia samotność, żaden z tych pomników nie da się z tym porównać; żaden nie ma tyle tego uroku w sobie i tego piękna, ile to ostatnie w o l n y c h obywateli mieszkanie. W wzajemnym uścisku jednoczą się tam oni na wieczność. Wyziębłe szkielety, z przeciętemi ostrzem kosy ścięgnami, kości zmięszane w wspólnej kostnicy, tem samem tchną jednak ciepłem serdecznem, tą samą owiane atmosferą entuzyastycznych uniesień — jak niegdyś serca ich wolne za życia.

Zewnętrzny widok tego gmachu nadzwyczaj prosty: rzekłbyś, olbrzymi grobowiec z jednego wykuty głazu. Myśl o śmierci każdy przedmiot życia uroczystą jakąś zwykła oblekać szatą. Ilekroć człowiek zapragnął zdobyć się na obraz śmierci, nieśmiertelności stworzył wizerunek. Napróżno bolem bolów nazwał godzinę konania, cieniem cieniów ostatnie schronisko: na dnie pustego grobowca, w głębinach niezbadanej otchłani jawi się światło tajemnicze nowego żywota. — My to czujemy wszyscy, że c z ł o w i e k, że ta istota, która całego stworzenia ostateczną jest treścią i wyrazem, że ten m i n e r a ł podległy prawom ciężkości i przestrzennych granic — ta r o ś l i n a nie mogąca się obejść bez powietrza, wody i światła — to z w i e r z e, które rodzi się jak inne ssące zwierzęta i jak zwierzę się żywi— że ten m i k r o k o s m o s z sferyczną czaszką, będącą obrazem sfery niebios rozpostartej po nad nią, z oczyma świecącemi odblaskiem świetlanych gwiazd — że ten a n i o ł, któremu przeznaczono po za kresami czasów i przestrzeni pojmować prawzory idei w zupełnej czystości, idei, których tylko cieniami są rzeczy tego świata — że ten arcymuzyk wszech światów, ten arcykapłan i arcypoeta z pomiędzy wszech istot wybrany — z szczegółowych faktów powszechne wywodzący prawo, z grubej materyi bezcielesną ducha istotę — że ten, który słuchem duszy sfer harmonię pochwycić, potęgą swej myśli przyrodę uświadomieniem własnem obdarzyć zdoła: — czujemy, że on by nie mógł pogrzebać siebie samego w całości i na wieczność garścią gliny zasypać, nie, chybaby wraz z sobą cały pogrzebał stworzony świat. (C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

III.

Powróćmy do Francyi, gdzie znajdziemy ten sam prąd idei. Być może, iż nie ma tam jeszcze zupełnego wewnętrznego przekonania o prawach osobnika, w każdym razie jest świadomość, iż ojcowie nasi mylną szli drogą. Siedmdziesiąt lat Francya przeżyła na tema rewolucyi. Teraz zaczynają robić wybór niezbędny i z ostrożnością przyjmuje dogmaty, których przez długi czas nie wolno było roztrząsać. W studyach historycznych nadewszystko można się dopatrzyć tego zwrotu mniemania powszechnego. Pan Thierry, który pozostawił po sobie czcigodne imię, widzi w całej historyi Francyi tylko niepowstrzymany ruch ku jedności; gotów on zawsze przebaczyć mężom stanu, którzy wszystko do wspólnego sprowadzili poziomu. Dzisiaj zaś odróżniamy cel i środki, pytamy czy jedność ta, którą władza królewska ustanawia na swą korzyść, nie za drogo kraj kosztowała. Ludwik XI. stał się tyranem, prawie gotowiśmy osądzić Richelieu'go tak, jak to uczynił Monteskiusz i straszny ten minister przedstawia się dziś jako człowiek z despotyzmem w głowie i sercu. Za restauracyi Ludwika XIV. był jeszcze półbogiem, dzisiaj jesteśmy surowsi nawet niż Saint-Simon. Przeciwko królowi temu gwałtowna powstała reakcya, gwałtowna aż do niesprawiedliwości. Jest to wskazówką czasu. Historya to niby galerya, gdzie są zebrane portrety przodków, każde pokolenie wystawia w niej na światło podobnego do siebie dziada i pozostawia w cieniu obraz, na którym już siebie rozeznać nie może. Wymieńcie mi z przeszłości imiona, które szanujecie, a powiem wam jakie grzechy lub cnoty goszczą w waszem sercu.

Zmiana ta pojęć nie jest dawną, w polityce nie sięga ona dalej jak do Tocqueville'a. Niezapomnieliśmy wrażenia wywartego lat temu dwadzieścia i pięć, pojawieniem dzieła: *De la Démocratie en Amerique.* Nie tylko talent autora i nowość przedmiotu wpłynęły na powodzenie tego dzieła, współcześni czuli, że znajdują się wobec społeczeństwa, do którego przyszłość należy. Bardziej aniżeli ktokolwiek przeczuwał to Tocqueville. Urodzony z rodziny szlacheckiej, obdarzony smakiem estetycznym, nie miał on żadnej słabości do tłumu, powiem nawet, że bał się prawie demokracyi, a jednak nieznany urok pociągnął go ku niej. Oto starożytna arystokracya i demokracya amerykańska podobne są do siebie pod jednym względem, a jest nim — wielkość człowieka.

Rzecz dziwna! Tocqueville nie umiał wcale pozbyć się uczucia, które nim owładnęło. Przyczyny tego dziwnego widowiska, które ma przed oczyma, szuka on z kolei w rasie, kraju, w wierzeniu, w wychowaniu, w urzędowaniach, podczas gdy jedna zasada, jedno i to samo prawo wytłumaczyłoby wszystko. W Ameryce wszystko wychodzi od osobnika, w naszej starej Europie wszystko od państwa. Tam społeczeństwo wytworzone z kościoła purytańskiego, zna tylko człowieka i pozostawia mu staranie o życiu jego zarówno jak i sumieniu, tutaj jesteśmy zamknięci w ciasnem i zmiennem kole, nakreślonem dokoła nas ręką władzy. Skoro raz uznamy tę prawdę, wszystko się nam wyświeca w tym pozornym zamięszaniu Ameryki. Tutaj to należy szukać prawdziwego porządku, porządku wypływającego z wspólności pojęć i z wzajemnego poszanowania wolności osobnikowej. We Francyi ze szczególnem zadowoleniem powołują się na zamieszki zaszłe w tem lub innem mieście bez policyi, jak np. w New Yorku, lub na gwałty i zniewagi kilku plantatorów zabłąkanych w pustyniach południowych. Lecz o danym kraju sądzić należy po ogóle zachodzących w nim zjawisk. Gdzież życie silniejszem bije tętnem, gdzie postęp jest widoczniejszy? Cóż zdziałaliśmy w Algieryi naszem postępowaniem prawidłowem i sztucznem?

Zobaczcie, przeciwnie, co zrobiła w ciągu lat kilku pierwsza lepsza garstka Amerykan z pustych wybrzeży Kalifornii.

Kiedy Tocqueville szukał poomacku prawa cywilizacyi nowoczesnej, podziwienia godny moralista Chamung dał mu zabłysnąć prz d oczyma wszystkich. Chamung opierał się na ewangelii. Dowodził on, że chrześciaństwo w istocie swej jest religią indywidualną, lecz zaszedł on jeszcze dalej, twierdząc, że jeżeli świat chce ujść upadku, powinien duchem chrześciańskim napoić obyczaje i urządzenia. Przeczytajcie co napisał przeciwko niewoli i wojnie, a zobaczycie, że polityka nowoczesna wykryta; — aby tryumfować mogła, potrzeba cokolwiek odwagi i wiary.

Ostatnia praca Tocqueville'a: *l' Ancien régime et la Revolution*, jest jednym z najśmielszych napadów na centralizacyą Dowieść, że ta administracya nadto wychwalana jest spuścizną monarchii, a nie zdobyczą rewolucyi, znaczyło to obalić przesąd opłakany i pozbawić centralizacyą otaczającej ją popularności. Pocisk trafił do celu. Dziś stronnicy centralizacyi muszą się ciągle bronić napadom bezustannie przeciw nim wymierzanym. Trudne to położenie, gdy miejsce nie jest bezpieczne, można przewidzieć, że niezadługo będzie trzeba ustąpić przed mniemaniem powszechnem. Naród, który czuje, że jest pełnoletni i chce użyć swych praw, nie pozwala długo się trzymać pod opieką.

Obok Tocquevill'a wspomnieć należy u Juliuszu Simonie. Dzieło jego *'O wolności* ma tę zasługę, iż jest zupełnem; moralność, historya, jurysprudencya, widoki na przyszłość, wszystko się w niem znajduje. W tem to dziele można zmierzyć drogę przebytą, i tę, którą nam przebyć wypada. Jedyny zarzut jaki uczynię p. Simon, polega na tem, że pierwsze jego zasady nie są tak proste, jasne, jak zasady Milla lub Evetvoesa. Powiedzcie mi, że sumienie, myśl, wola, działanie są rzeczami indywidualnemi, i że państwo o tyle tylko może się dotknąć takowych, o ile one wkraczają w granice wolności innego, oto idea, która mi się może pomieścić w głowie. Skoro administracya zajmuje moje miejsce, czuję uzurpacyą. Jeżeli zaś przeciwnie, jak robi Simon, mówić mi będą o prawie przyrodzonem, mającem rządzić społeczeństwem, nie ujrzę już jasno tego, czego mogę się domniemywać, albowiem to prawo przyrodzone każdy pojmuje na swój sposób. Kto zabroni państwu ogłosić się jego tłumaczem i wykonawcą? Czyli nie w ten sposób religię zamieniono w narzędzie despotyzmu i służebnicę rządów?

Również nie więcej podoba mi się omówienie, że „prawa państwa, wypływając jedynie z konieczności społecznej, powinny ściśle odpowiadać takowej, tak że w miarę jak konieczność ta zmniejsza się wskutek postępu cywilizacyi, obowiązkiem państwa jest zmniejszać własną działalność i zostawiać więcej miejsca wolności. Innemi słowy, człowiek ma w teoryi prawo do możliwie największej wolności, lecz w samej rzeczy o tyle tylko, o ile do niej jest zdolny." Jeżeli moja zdolność dowolności jest sprawdzaniem mego prawa, i jeżeli państwo wyrokuje o takowei, to wyobrażam sobie, że jeszcze długiego będę potrzebował czasu dla otrzymania niezależności. Państwo podobne jest do opiekunów i ojców, ci, których wychowało, zawsze są dla niego dziećmi. Każą się nam zestarzeć w wiecznej małoletności. Od lat trzydziestu, ilekroć domagają się wolności, tę samą słyszę odpowiedź, że państwo niczego sobie bardziej nie życzy nad przyznanie tej wolności, lecz naród jeszcze jest niedojrzały, należy więc wyczekiwać zmądrzenia, które nigdy nie nastąpi. Toż samo dowodzili negrom, chcąc się wymówić od uwolnienia takowych. Zasada Milla i Evetvoesa ilekroć jest słuszniejsza i prawdziwsza! Słuszniejsza, albowiem ograniczając państwo na niezbędnych jego prawach, kładzie kres złowrogiej opiece, prawdziwsza, albowiem fałszem jest jakoby postęp cywilizacyi ograniczał działalność państwa. Widzimy to po części. W miarę jak stosunki ludzi rozwijają się i wikłają, zadanie rządu nieuniknienie staje się ważniejszem. Cała sprawa polega na tem, aby ten wzrost potęgi nie wychodził po za dziedzinę państwa. Życie narodów nie jest ilością stałą, która nie może zwiększyć się z jednej strony, nie zmniejszywszy się z drugiej, jest to siła rosnąca do nieskończoności, nie trudno więc pojąć, że tam gdzie cywilizacya daleko posunięta, naród jest bardzo wolny, a rząd bardzo zajęty.

Podczas gdy filozof-polityk, jakim jest pan Juliusz Simon, łączy wszystkie swobody i wskazuje nam wspólny ich węzeł, publicyści z mniej bystrym poglądem, walczą z osobna za każde z tych spraw. Spotyka się tu usiłowania rozmaite, nierówne, które choćby przez swą rozmaitość, mogą służyć za dokładną wskazówkę mniemania powszechnego.

Przedewszystkiem zasługuje na uwagę ta okoliczność, że zaprzestano już mówić o swobodach politycznych. Fakt ten zaznaczam, nie rozbierając go bynajmniej. Przed trzydziestu laty, nie podobna było znaleść człowieka dobrze wychowanego, któryby nie układał własnej konstytucyi. Pytania będące wówczas na porządku dziennym były: natura władzy królewskiej, prawo wojny i pokoju, początkowanie izb, odpowiedzialność ministrów i sprawujących interesa władzy, juryzdykcya administracyjna, dziś podobne rozprawy nie mają miru... Możnaby tu przytoczyć wiele powodów tego zobojętnienia, jeden wszakże z pośród nich uderza mię bardziej niż inne: oto doznaliśmy tyle zawodów, że dziś pomierne tylko znaczenie przywiązujemy do teoryi politycznych. Instynktownie czujemy, że z dwiema izbami, trybuną i prasą kraj będzie zawsze wolnym, jeżeli żyć będzie duch publiczny, jeżeli czynną będzie opinia; czujemy także, że deputowani i dzienniki na nic się nie przydadzą narodowi, który sam siebie zaniedbuje i utracił już upodobanie do wolności. (C. d. n.)

HISTORYA
3go PUŁKU PIECHOTY LINIOWEJ WOJSKA POLSKIEGO

z czasu kampanii przeciw najazdowi moskiewskiemu w r. 1831.

Opowiedziana przez żołnierza, sierżanta, w końcu podporucznika tegoż pułku.

(*Ciąg dalszy.*)

Po krótkim wypoczynku, równo z dniem dywizya udała się traktem z Węgrowa prowadzącym do Dobrego. Tu zatrzymał się 3ci i 4ty pułk piech. lin. baterya lekka pozycyjna i 2gi pułk ułanów; reszta dywizyi w tył ku Stanisławowi się posunęła. Nocował nasz pułk dwie nocy na rynku miasteczka przy ogniskach; trzeciego dnia jeśli się nie mylę dnia 17. lutego, wyprowadzono nas około godziny 8mej z rana na pozycyą. Trakt z Węgrowa idący przez lasy, wprost miasteczka, wychodził na pole dość obszerne, ale zewsząd otoczone lasami, tylko z lewego boku były błota. To więc pole obrał gen. Skrzynecki do spotkania z gen. Rosenem, prowadzącym trzydziesto tysięczny korpus, przeciw lewemu skrzydłu naszej armii.

Wódz nasz rozwinął 3ci i 4ty pułk piech. lin. luki i skrzyd'a zapełnił 2m ułanów, a na wzgórzu po przed naszą linią ustawił 12 dział. Linia nasza była nieco prawem i lewem skrzydłem naprzód zaokrąglona, a promienie jej zbiegały się w ten punkt gdzie trakt Węgrowski z lasu na pole wychodził. Prawe skrzydło oparte o las, lewe o jakieś błota, w tyle znów las i nasza droga odwrotowa do Stanisławowa. Tę jeszcze okoliczność dodać muszę, iż w kierunku naszej linii ciągnął się kilkosążniowego wykroju głęboki rozdół, z którego Skrzynecki skorzystał, iż w rozdole ustawił swe kolumny zasłonione tak, że nieprzyjaciel nie domyślając się rozdołu sądził iż nasze kolumny w lesie ustawione, i tam ich kulami armatniemi szukał — w każdym razie ogień działowy przenosił i szkodliwym być nie mógł.

W takiej to pozycyi czekał gen. Skrzynecki w sześć tysięcy żołnierza, na spotkanie 30 tysięcznego korpusu Moskali. Usiłowania swe zwrócił, iżby wychodzącemu z lasów nieprzyjacielowi jak najdłużej nie dać się rozwinąć, i jak największe szkody mu wyrządzić.

Łańcuch tyralierski zasłonił nasze szeregi, a po godzinnem oczekiwaniu, około godziny 9tej ozwały się nasze działa o jakie sto kroków przed naszym frontem na wzgórzu rozstawione, jak to wyżej powiedziałem.

Nieprzyjaciel z razu wolniej, potem coraz silniej zaczął odpowiadać, ale kule jego przenosząc nas biły w las, małą nam szkodę wyrządzały. W pół godziny powstali z ziemi tyralierawie i rozpoczął się gęsty ogień tyralierski; a że moskiewski łańcuch coraz stawał się silniejszym, chorągwiane kompanie naszych batalionów poszły w rozsypkę dla wzmocnienia naszych tyralierów. Tu zaczęła się zacięta walka tyralierska, kilkanaście razy, ruszając na bagnety, spędzaliśmy moskiewskich tyralierów na ich kolumny, i tak walcząc aż do wieczora, wspierani ogniem naszych 12tu dział, utrzymaliśmy w sześć tysięcy, na barkach naszych pięćkroć liczniejszego nieprzyjaciela, nie ustępując ani kroku; aż dopiero o zmierzchu za rozkazem dowódzcy zaczęliśmy się ku Stanisławowowi cofać. Jak żwawą była ta utarczka, dość gdy powiem iż przy apelu 8mej kompanii, która w rozsypkę odkomenderowaną była, zabrakło 60 ludzi, najwięcej z tych ubyłych było rannych, kilku padło, a kilku dostało się do niewoli

Rannych tedy pułk nasz miał wielu. Ściągnęliśmy do Stanisławowa, i ambulanse tamże, bo miała dywizya w Stanisławowie noc przebyć. Lecz przyszedł rozkaz, by wojsko natychmiast ku Warszawie ciągnęło. Rozkaz ten czy nie doszedł komendanta ambulansów, czyli też nie było czasu z ambulansami się uwinąć, lecz tu nastąpił ten smutny fakt, iż Moskale zaskoczyli naszych rannych w Stanisławowie i około 150ciu do niewoli zabrali, a między nimi Romualda Bukowskiego, bardzo inteligentnego kadeta z 3go batalionu.

Drugiego dnia pod Okuniowem lekka utarczka z następującym nieprzyjacielem, i połączenie nasze z dywizyą gen. Zymirskiego, z którym

późnym wieczorem łącznie stanęliśmy pod Wawrem, gdzie od razu kolumny nasze bojowe stanowisko zajęły. Pułk 3ci znów w pierwszej postawiony linii.

Zaledwie się dobrze rozwidniło, nieprzyjaciel rozpoczął ogień działowy, a po jedno czy dwugodzinnej kanonadzie wywiązała się bitwa tyralierska, nie tak silna jak pod Dobrem, ale zawsze uporczywa; chociaż bez rezultatu, bo kolumny tak nasze jak i moskiewskie na swych rannych pozycyach się utrzymały.

O zmroku trąbka odbojowa powołała tyralierów do kolumn; już dobrze ciemno było, gdyśmy nasze kolumny odszukali. Był to dzień 19go lutego i nocy tej bat. 3ci aczkolwiek całodziennym bojem zmęczony, pod bronią noc całą na grand gardzie przepędził.

Dnia następnego to jest 20. lutego, 3ci pułk stanął w drugiej linii, dzień ten w armatnim ogniu i w asekuracyi dział przestał, jednakże Moskale tak się podsuwali, iż od ręcznej broni mieliśmy w batalionie kilku rannych, a mianowicie Jacentego Merla, kadeta. Pozycya, którą w tych dniach pułk 3ci zajmował, była środkowa, więcej ku lewemu skrzydłu wysunięta. Około godz. 4tej po południu ustał ogień, i bataliony naszego pułku odprowadzone w tył o parę tysięcy kroków, rozłożyły się obozem. Cała nasza armia w równi z naszym pułkiem zajęła stanowisko pod Grochowem; były to dywizye generałów Skrzyneckiego i Zymirskiego, a liczyły prócz kilku kolumn nowo formujących się pułków, ze starych, 3ci, 4ty, 7my, 8my piechoty liniowej, 2gi i 4ty strzelców pieszych, 4 bataliony gwardyi grenadierów i 2 bataliony weteranów czynnych. Kawalerya gen. Łubieńskiego 2gi, 4ty, 5ty pułk ułanów i inne, których wymienić nie umiem. Dywizya gen. Krukowieckiego stała pod Białołęką, zajmując lewe skrzydło armii, a składała się z dawnej 1szej dywizyi, to jest 1, 2, 5, 6. pułku piech. lin. 1. i 3. pułku strzelców pieszych; być może, iż także znajdowały się tam oddziały młodego piechotnego żołnierza. Co do kawaleryi, z wyłączeniem pułków znajdujących się pod Grochowem, reszta w części zasłaniała Pragę od rogatek Jabłonny, w drugiej części ustawioną była pod Białołęką, a z tej wymienić umiem z nowych pułków jazdę czyli krakusów lubelskich i śliczny na oko lecz ubogi w cnotę żołnierską pięcio-szwadronowy pułk jazdy kaliskiej czyli Kaliszanów, dowodzony przez znanego z dzielności z czasów napoleońskich Mamentego Dłuskiego. Komenda gen. Krukowieckiego, komunikacyą z nami złączona, działała odrębnie. Generałowie Skrzynecki i Zymirski zajmowali środek i prawe skrzydło. Na ostatecznem prawem aż do brzegów Wisły stała brygada strzelecka 2gi i 4ty pułk tudzież 4ty pułk ułanów, a na Saskiej Kępie postawiono konną chorągiew „Złotej wolności“. Pułk 3ci znajdował się na prawem centrum. Główno dowodzącym de nomine był naczelny wódz książę Michał Raddziwił, ale rzeczywistą komendę sprawował gen. Chłopicki.

W tej pozycyi czekaliśmy na bitwę pod Grochowem dni pięć. Zaczęła się ona grzmotem dział na lewem skrzydle, był to znak że korpus moskiewski Szachowskiego nadciągnął, i zajął pozycyą przeciw Białołęce. Mówiono iż Dybicz złamał rozejm na dni 8 zawarty, ale jest faktem iż dnia 25. lutego około godz. 8 z rana, za ozwaniem się dział Szachowskiego, Dybicz rozpoczął bitwę na całej linii. Ogień działowy z obu stron był bardzo silny, a wytężony z naszej strony, albowiem artylerya nasza, o wiele liczebnie słabsza, musiała odpowiadać silniejszej. Pułk 3ci z razu stał w drugiej linii, około południa zastąpił łącznie z pułkiem 7. inną brygadę 4. i 8. pułku piech. lin. gwardyą grenadyerów, którzy kilkakrotnie zajmowali Olszynę między dwoma wojskami się znajdującą. Około południa tedy brygada nasza wystąpiła naprzód, i dalej na bagnety, zajęła Olszynę. Twierdzą, iż tej chwili generał Chłopicki rzeczywisty dowódzca bitwy, zbierał rezerwy, by wesprzeć naszą brygadę i laskiem stanowczo owładnąć, co rozstrzygało los bitwy. Ale gen. Chłopicki ranny czerepem granata spada z konia, nie ma pod ręką nikogo coby myśl jego wykonał, a brygada nasza nie wsparta, po przejściu Olszyny, okropnie rażona kartaczami artyleryi nieprzyjacielskiej i ogniem ręcznym piechoty moskiewskiej Olszynę opuścić musiała. Odwrót ten wykonaliśmy w największym porządku i nic nie zmięszane kolumny naszych pułków z Olszyny ustąpiły. Wypadła za nami ćma Moskali ogniem naszym powstrzymana, a kolumny nasze zajęły przedatakowe pierwszej linii stanowisko. W niedługim czasie dała się słyszeć komenda: „Batalion przeciw kawaleryi formuj kare“, komenda ta była w czas wydaną, albowiem Dybicz widząc iż przewagą liczebną swej piechoty (walczącego pod Grochowem naszego wojska było zaledwie 25,000 żołnierza, gdy Dybicz wystawiwszy przeciw Białołęce zaledwie korpus obserwacyjny słabo na tamto skrzydło działający, zgromadził główne siły przeciw Grochowowi, i w bój wprowadził wyżej 60,000 swoich żołnierzy) zwycięstwa nad naszą nie otrzyma, zarządził ogólną szarżę kawaleryi Piechota moskiewska się zatrzymała, przepuszczając poprzód siebie kawaleryą; massy tejże na całej linii naprzód wystąpiły, i wykonały na naszą piechotę szarżę ogólnie odpartą. Każdy batalion 1szej linii równocześnie był atakowany, każdy też rotowym ogniem napastników srogo ukarał, tylko na prawem skrzydle ujrzeliśmy mały nieporządek w brygadzie strzeleckiej, któryś z jej batalionów po szarży kawaleryi się rozsypał, i przez zamarzłą Wisłę ku Saskiej Kępie podążał: wielu też z nich na lodzie się załamało.

Pole było równe, odsłonione, więc pokuszam się przestąpić zakres opowiadania o 3cim pułku i opowiem co widziałem — więc jeszcze o tej szarży. Na lewo od nas stał batalion weteranów, a dalej 4ty pułk. Na weteranów, jak i na nasz batalion szarżowali konnopolce, a przeciw 4mu pułkowi piech. lin. wysunęła się długa jak kiszka półplutonowa kolumna kiryssierów. Był to wybór moskiewskiej jazdy. Pułk kirysierów księcia Albrechta, sławny w dziejach wojennych, a na hełmach nosili napis „Niezwyciężeni“. Był to zarobek dziejowej waleczności tego pułku zwykle w rozstrzygającem stadyum bitew używanego.

Myślą wodza moskiewskiego było strudzoną piechotę naszą bojem z trzykroć liczniejszą kawaleryą rozbić, nakazał więc na całej linii Grochowskiej ogólną przypuścić szarżę kawaleryi, zaś kirysierowie w długą kolumnę sformowani, mieli się lukami między kolumnami naszych batalionów po za nasze linie bojowe przedrzeć, wpaść na Pragę i mostem na Wiśle owładnąć.

Dowcipny plan Dybicza rozbił się o dzielność naszego żołnierza, najezdnicza kawalerya na całej linii odparta tak stanowczo, iż poprzestano na jednej szarży, i o ponowienie takowej się nie pokuszono; a co kirysierów spotkało, szczegółowo opowiem, bo na ten epizod i z daleka i z bliska się patrzałem i obraz ten stoi mi przed oczyma, by najświeższe zdarzenie.

Pułk ten był bardzo silny, miał nietylko pułkownika, ale i generała swego, który tę szarżę prowadził. Wysunęli się oni jak to już powiedziałem przed pozycyą, którą bataliony 4. pułku piech. l. zajęły. Pułkownik tego pułku Bogusławski, dzielny oficer i żołnierz, widząc przeciw sobie szybko posuwającą się kolumnę kawaleryi, przebiegł od batalionu do batalionu, i te powiedział słowa: „Wiara! to kirysyerzy — przypuścić blisko i walić w konie; teraz „do nogi broń“ a na komendę naszych dowódzców „rotami ognia“ wziąć od nogi broń na cel i ognia“. Tęgi ten oficer znał swego żołnierza i był pewnym, że go nie zawiedzie, lecz to rzecz bardzo niebezpieczna z bronią u nogi oczekiwać napadu kawaleryi; w ciągu naszej kampanii, nie pamiętam kiedy i gdzie, chciał tę sztukę zmałpować jakiś dowódzca batalionu moskiewskiego, kazał on także wziąć broń do nogi, by ją w czasie właściwym, to jest gdy szarżująca kawalerya w bliskiem będzie oddaleniu, żołnierze do twarzy wznieśli, i rotowego sypnęli ognia, lecz to nie nasz żołnierz, Moskaliska tak się stropili, że chociaż komendant z całego gardła krzyczał: „Palba batalionom“ broni już nie podnieśli, a nasi ułani nie straciwszy ani jednego człowieka, cały batalion zabrali. (C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODROŻY
NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy).

Wreszcie sama litość nad ludem tutejszym, pobudza do wspaniałomyślności, bo ziemia ta, niegdyś mlekiem i miodem płynąca, dziś rodzi mu tylko osty i kamienie... Grunt jałowy, nawet bieżącej wody nie posiada: łożysko Cedronu wyschło, a po płaskich, cementowanych dachach, spada deszczowa woda do Cistern murowanych, odrażającego smaku. Znajduje się tu wprawdzie kilka stawów, czyli sadzawek; jedną zwaną *Hiskias* podziwiam z naszego hotelu, otoczona domami przyjmuje w swe objęcia wszystko, czem ją z okien obdarzą... potem wodę filtrują i pielgrzymów krzepią! Druga sadzawka 460 stóp długości mająca *Bethsedą* zwana, ma być miejscem, w którem Jezus chorych i trędowatych uzdrawiał, i parę innych, o których mówią, że są ze sobą połączone podziemnymi kanałami.

Mury otaczające miasto, liczą 5800 stóp obwodu... spojrzawszy na te olbrzymie bloki znajdujące się w zamurowaniu, nie można nawet wyobrazić sobie siły z jaką te płyty wstawiano; niektóre bowiem liczą do 30 stóp długości, i znajdują się tu jeszcze od czasów Salomona! Z siedmiu bram tylko cztery dla komunikacyi zostawiono, i te już o 6tej wieczór zamykają, tak, że kto się spóźni, może pod bramą nocować... resztę bram zamurowano. Najgłówniejszą i najlepiej zachowaną pamiątkową bramą, jest tak zwana *Złota*, przez którą Jezus Chrystus wjeżdżał do Jerozolimy. Mahometanie zamurowali ją z przekonania, że tylko tą bramą wjedzie ich przyszły pogromca i z tego względu ostro jej strzegą.

Brama św. Szczepana pamiętna jest wejściem Gotfryda de Bouillon; w pobliżu jej za murami

wskazują skałę, na której ukamienowano pierwszego za wiarę męczennika.

Trzecią pamiątkową bramą jest „Brama Śmiecia“, przez którą dla tem większego upokorzenia, prowadzono Chrystusa do Piłata. (Schody z pałacu Piłata, po których Jezus stąpał przed trybunał, znajdują się w Rzymie pod nazwą Scala-Santa, przewiezione tam z rozkazu cesarzowej Heleny). Całą drogę, którą Jezus szedł ku Golgocie zowią Via-Dolorosa (Droga cierpienia); co kilka kroków wskazują miejsca uświęcone ostatniemi chwilami Chrystusa: tu padł Jezus pod ciężarem krzyża, tam św. Weronika obcierała chustą twarz Jego uznojoną; dalej miejsce, z którego przemawiał do płaczących kobiet; wśród miasta wskazują domek, w którym Matka Boska się rodziła, drugi domek w którym umarła, miejsce zkąd patrzyła się na ukrzyżowanie i tak wiele innych, iż nie podobna mi wszystkich wyliczyć z kolei.

Blisko kościoła Grobu św. stoją ruiny murów klasztoru zakonu *Johanitów*, ze wszech stron kaktusami i trawą porosłe; ruiny te otrzymał w darze od sułtana pruski następca tronu, a przy odkopywaniu ich znaleziono kilka skrzyń z drogocennymi kielichami, jeszcze z czasów wojen krzyżowych; skarby te zabrano do Berlina... W południowo zachodniej stronie na pagórku *Zion*, protestanci posiadają swoją świątynię z przyległym cmentarzem; przechodząc tamtędy szukaliśmy nadaremnie nagrobka jednego z najsławniejszych tegoczesnych filozofów angielskich, Henryka Tomasza Buckle, ktory w młodym wieku umarł w Ziemi świętej; dowiedziałam się od znajomej Angielki, że Buckle pochowany został niedaleko Nazaretu. Podczas naszej pielgrzymki przebywał w Jerozolimie biskup protestancki, i przypominam sobie, jak śmiesznie brzmiało mi w uszach, gdy pewien znajomy nam major zapowiadał, że tego lub owego dnia wybiera się na herbatę do *Frau Bischöfin*.

Poniżej cmentarza leżą w gruzach pod ziemią resztki łazienek *Dawida*, a obok starożytna wieża z ruinami zamku tego króla-psalmisty, zkąd ukradkiem podziwiał kąpiącą się piękną Bathsebe... Na innym pagórku Moriach, na placu Haram Esch Scherif, gdzie niegdyś świątynia Salomona istniała, wznoszą się dwie prześliczne moszee: pierwsza Omara albo Sakra, druga Aksa, zwane. Poważne cyprysy, rozkoszne rożki świętojańskie, mile zacieniają ogromną kwadratową przestrzeń tego placu, obejmującą do 1500 stóp długości. Moszea Omara, uważaną jest po świątyni w Mece, za najświętszą; wewnątrz mieści pod kopułą kawał olbrzymiej skały *Sakra*, która miała upaść z niebios, a tak Mahometanie jak i żydzi przywiązują do tego głazu niesłychaną wagę. Mahometanie twierdzą, że z tej skały Mahomet wstąpił do nieba; żydzi utrzymują że na niej Abraham Izaaka chciał ofiarować, a co najważniejsze, że ów kamień ma być początkiem świata całego! Pod skałę prowadzi kilka schodków do małej, niskiej komory z framugami, w których modlili się królowie Salomon i Dawid, i patryarchowie Eliasz i Abraham.

Mahomet pewnego razu w modłach gorących, podniósł się w ekstazie a skała od gorących westchnień zmiękła tak dalece, że turban proroka odbił się na suficie, na co wierni uwagę zwiedzających zwracają. Moszea w ośmiokąt zbudowana z płyt marmurowych i błyszczących kafli kolorowych, przystrojona ze zwykłym wschodnim przepychem tak zewnątrz jak i wewnątrz, podobna jest zresztą do innych moszei, które poprzednio opisywałam. Na jednej ze ścian widać płytę kamienną z dwiema skamieniałemi srokami, które zbuntowawszy się nie chciały z innemi zwierzętami oddać Salomonowi należnego hołdu, za co zostały w głaz przemienione.

Na tymże placu stoi mała z kopułką świątyńka, pod którą do dziś dnia znajduje się tron kamienny, z którego Dawid sądy wydawał. O sto pięćdziesiąt kroków dalej stoi druga moszea „Aksa“, o której mówią, że została wzniesiona przez Justyniana jako chrześciańska świątynia, a którą dopiero później Mahometanie zmienili na meczet. Spomnąć też muszę o dwóch wewnątrz meczetu znajdujących się kolumnach, tak blisko obok siebie stojących, że wedle wschodniego zabobonu, kto się pomiędzy nie przeciśnie, ten wejdzie do królestwa niebieskiego. Mąż mój próbował tej przeprawy, którą bardzo utrudniały mu franki w złocie zawieszone w torbeczce na piersiach... Z Aksy schodzi się kilkunastoma wschodami pod ziemię, gdzie olbrzymie arkady tworzą korytarze, które miały być stajniami Salomona, oraz wprowadzają do gruzów najprawdziwszej starożytnej świątyni Jehowy; u nóg proch i drobne odłamki, ale sklepienia i kolumny do tej chwili dumnie się wznoszą w górę, urągając niszczącej dłoni czasu, i groźniejszemu nad czas, instynktowi burzenia u ludzi. Wśród tych ścian, pod temi arkadami dwunastoletni Jezus nauczał i zadziwiał swoją mądrością; tu matka stroskana, odszukała go wśród grona mędrców; tu wreszcie wskazują miejsce gdzie Marya z dzieciątkiem Jezus i świętym Józefem odpoczywała, podczas ucieczki swojej do Egiptu.

Wyszedłszy po za mury, roztacza się przed okiem piękna dolina, której składowe części rozmaite noszą nazwy, jako to: Dolina Gihon, dolina Ihidron, dolina Josafata, a po za doliną wznoszą się liczne wzgórza, jako to: wzgórze Złej rady, wzgórze Zgorszenia, góra Oliwna i td. Ku wschodowi ściele się malowniczo spadzista wioska Silöe, która jedna jedynie posiada źródło słodkiej wody, co bez wątpienia dodaje jej wiele uroku i weselszego krajobrazu. Pod mury, opasujące z tej strony miasto zgromadzają się co piątku żydzi, opłakujący utraconą ojczyznę... Zaprawdę rzewny to i wstrząsający widok tego tłumu jęczącego i bijącego głowami o zimne głazy, i wzywającego pomsty i zmiłowania Jehowy. Wielu z nich na stare lata udaje się do Jerozolimy, aby choć siwą głowę złożyć tam, gdzie spoczywają prochy tylu a tylu pokoleń... Młodsza generacya żydów zamieszkująca Jerozolimę, zajmuje się wyrobami z oliwnego drzewa, które bardzo zręcznie i misternie rzeźbią, tocząc zeń piękne etażerki, stoliczki, guziki, laski etc., każdy przedmiot z napisem hebrejskim „Jerozolima“ znajduje tu chętny pokup, szczególniej u pielgrzymów.

U podnóża wioski Silöe spostrzega się kilkanaście nędznych lepianek (bo nie podobna nazwać ich chatami) zamieszkanych przez najnieszczęśliwszych w mojem mniemaniu ludzi, bo przez trędowatych... Okropne te karykatury ludzkiej postaci nietylko że żyją, ale się nawet pomiędzy sobą pobierają i mnożą... Wszyscy od nich stronią i uciekają; żebrzą też biedaczyska, mając na długiej żerdzi przymocowaną torebkę, do której miłosierni jałmużnę składają. Liczba trędowatych nie przechodzi *trzydziestu*, a mimo to taką jest zakałą dla mieszkańców Jerozolimy, że rząd turecki powinienby najspieszniej zaradzić temu.

Idąc ciągle ścieżką po pod murem otaczającym miasto, napotyka się dolinę Józafata, której wszelako nie zwiedzaliśmy i tylko nasz przewodnik, mieniący się „Ein Oesterreicher“ (a był to żyd najpospolitszy), ze wzgórza wskazywał nam wykute w skałach ważniejsze groby jako to: *Absalona*, *Jakóba*, *Jozafata*, *Zacharyasza* i innych patryarchów, jak również jaskinię *Jeremiego*, w której prorok ów pisał swe sławne po wiek wieki lamentacye (Jeremiady). Naokoło płyty cisnące się do siebie oznaczają groby pojedyńczych żydów; całość przedstawia jedno, wielkie okopisko...

Nad wyschłem korytem Cedronu, u stóp góry Oliwnej, mur wysoki strzeże Getsehmane czyli Ogrojca, miejsca w którem Chrystus wśród drzew oliwnych przedostatnie godziny życia swego na modlitwie spędzał. Przy bramce ogrodowej wskazują odłamek kamiennego słupa, do którego miał być Jezus przywiązany, gdy go biczowano. Franciszkanin, zakonnik, zajmuje się uprawą tego ogródka, który zdobią uliczki z rozmarynu w tej chwili rozkwitłego, w miliardy białych dzwoneczków i rabaty pokryte kwieciem tacetów, nasturcyi wijących się koło na pół spróchniałych rozłożystych drzew oliwnych i td. Podanie utrzymuje się, że drzewo oliwne żyje długo, bo lat tysiąca dochodzi, a pewnem jest, że ten kto je sadzi, nie doczeka się owocu; jednak, czyżby to być miały te same konary, pod którymi Chrystus modlił się przed ukrzyżowaniem? (C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Najwięcej na uwagę zasługuje ścienne jego malowidło olejne w pałacu Dożów, przedstawiające sąd ostateczny. Chrystus, który tu jest główną oczywiście osobą, wylatuje z chmury nagi, i tylko lekką szafirową szarfą obwiany, w postawie nadzwyczaj zręcznego i dobrze wychowanego tancerza, a dokoła równie nadzy i nagie mężczyźni i niewiasty pozują z wielką gracyą i niezaprzeczonem dobrem wychowaniem jako zbawieni i potępieni. Nic tu nie obrazi oka człowieka, co całą młodość przetańczył w arystokratycznych salonach, i pewnoby się nawet najlepiej wychowani ludzie nie zachowali z takiem dekorum i dobrym smakiem gdyby ich do piekła zepchano. Zresztą postacie wszystkie mają ciała i twarze nadzwyczaj piękne i zdrowe, karnacye żywe, koloryt szat silny i harmonijny, oświecenie pełne i słoneczne, i całe wykonanie bardzo dobre.

Ten sam mistrz malował bardzo często złożenie do grobu, i mamy we Lwowie u Ossolińskich bardzo dobry obraz tego rodzaju. Niewiasty święte we fioletowych szatach i takichże zasłonach, niosą przez zamroczony wieczorny krajobraz piękne i niby tylko uśpione ciało Chrystusa, na które spadają fioletowe odblaski z szat; i koloryt i przedmiot tu zarówno smętne, wyrazy twarzy zbolałe, a ruchy w mierze przez dobre wychowanie utrzymane. Barokizm Palmy nie za klasycznym jedno za salonowym szuka ideałem.

Padowanino już nie śmiał barw silnie akcentować, i piękne zresztą a spokojne postacie ubarwiał niepewnemi barwami nie męczącemi oka, ale nie oddającemi dobrze życie. Malował on dla schorzałych dam wielkiego świata. Po nim *Tiepolo* wyrzekał się już zupełnie barwy. Jest w Belwederze święta Teresa jego pędzla, z białą twarzą, lilijowemi ustami, białą szatą

i wieńcem cierniowym na czole, z wyrazem gwałtownego, konwulsyjnego uniesienia, graniczącego ze śmiertelną agonią. Ów Tiepolo już wcale nie był Wenecyaninem.

IV.

Wenecya przez sto lat z górą władała pęzlem; przez tysiąc lat prawie budowała cudowne i dziwne gmachy. Rozpostarła się nad wodami labiryntem malowniczych kanałów, i obwozi do dziś dnia gości swych na gondolach; gość ukołysany miękkim ruchem fali, słucha szumu wioseł i nawoływania gondolierów, czuje ciepło słońca, i patrzy na blaski wody i marmurów. Wielki spokój opanowuje jego ciało, słuch niepodrażniony hurkotem kół, i widz wkrótce staje się cały wzrokiem, wśród bezludnej ciszy. Myśleć, mówić, słuchać niechce, jedno patrzyć, a barwy grają przed nim dziwną muzykę.

Pałace te, lubo i linią piękne, są to przedewszystkiem wspaniałe, barwne, dekoracye teatralne co ćmią światłem. A obrazy po pałacach i kościołach rozwieszone, choć wcale pięknie rysowane, są przedewszystkiem simfonią barw. Dla tego to zbyt niespokojne i zbyt krytyczne duchy nie rade z tego co widzą w Wenecyi, dla tego jest ona zbyt cielesną dla tych, co nie chcą używać zmysłami, dla tego wreszcie sprawia roskosz niewysłowioną tym, co mają oko wrażliwe na czar barwy. Jeszcze poczucie estetyczne nie miało czasu sądu wydać, a już jakaś dziwnie czysta barwa mile podrażniła zmysł oka, już jakaś postać, albo tło jakieś przypomniało miłe zmysłowe wrażenia. Aby używać Florencyi, trzeba wnikać w istotę ducha ludzkiego, w Wenecyi dość gdy się kto zmysłom odda w niewolę.

Jednak krzywdziłby Adryatycką stolicę ten, coby zawyrokował, że jest bezmyślną dla tego, że jest nawskróś świecką, i że przedewszystkiem do oka przemawia. I wspaniałość świecka i barwa mają swoje prawa w dziedzinie owego piękna, co człowieka rozświeca i wynosi.

Wykwint nietylko jest poszukiwaniem wygody; można i owszem leżyć na bardzo miękkiem i wygodnem, a jednak wcale nie wykwintnem posłaniu. Czystość i ochędóstwo, a nierozwiązłość i gnuśność prowadzą w dalszym rozwoju do wykwintu, którego najwyższym i najczystszym wyrazem Wenecya.

Gdy człowiek potrafi się tak usamotnić, że się nie spotyka ani z siłami wrogiemi jemu, ani nawet z ich śladem albo z ich pozorem, gdy zdoła wytworzyć w koło siebie świat, w którym będą wszędzie widocznemi widome ślady jego panowania — posiądzie wykwint. Zaglądają już pierwsze jego ślady do chaty górala, skoro wyheblowane ściany zaświecą gładko, pozbawione znaków prochu naigrawającego się z ludzkiej pracy. Bielenie, a potem malowanie i tapetowanie ścian, woskowanie podłóg i posadzek, politerowanie sprzętów domowych, nakrywanie stołów bielizną i wszystko to są dalsze kroki na drodze do wykwintu, wszystko to odsuwa dalej brud i niszczące ślady ręki czasu, wszystko świadczy o przybytku, który sobie człowiek stworzył i w którym sam panuje. Gładzone szkła w oknach, umiejętnie zasadzone ogrody, firanki i kotary zasłaniają dla oka to wszystko, co świadczy o pracy, o trudzie, o chorobie i ubóstwie, słowem o przewadze sił głuchych a nieubłaganych. Wykwint fizyczny kłamie choć chwilowo człowiekowi, że zapanował nad naturą, tak jakby zapanować pragnął, a kłamie przedewszystkiem oku.

Jest i wykwint towarzyski, którego zadaniem kłamać, że człowiek przestał ulegać namiętnościom owym wewnętrznym siłom natury, co niemniej od zewnętrznych krępują wolną wolę. Żądza tego to wykwintu każe przybierać mierzoną postawę, ważyć słowa i panować nad wyrazem twarzy. Ona to każe kryć za pozorami pańskiemi pychę, próżność, łakomstwo, zazdrość i inne namiętności, któreby się dały domyślać tego, że człowiek albo nie posiada tego co żąda, albo niedawno nabył panowanie, i dotąd do niego nienawykł. Wygoda i władza są prawdą, wikwint pozorem, wygoda i władza są nabytkami praktycznemi, wykwint jest nabytkiem estetycznym.

Nigdy jednak nie można w życiu rozwinąć wykwint taki jak ten, który nam przedstawia sztuka wenecka. Na obrazach tutejszych mistrzów żyją ludzie, których namiętności mody przyzwoitej miary nie przeszły, którzy choroby i biedy nie znali, w otoczeniu już niewykwintnem tylko, ale świetnem. Bo tu barwy i światła tak zestrojone, by oko upoiły, by się wydało, że słońce stało się możniejszem na rozkaz człowieka.

Jeśli tedy wykwint jest także rzeczą estetyczną w całem znaczeniu tego słowa, i jeśli także człowieka chwilowo po nad zwykły poziom wynosi, nie można żadną miarą nie przyznać wysokiej estetyki weneckiej sztuce, przedstawiającej wykwint za pomocą ciał klasycznych i barw wspaniałych. Co do linii idzie w ślad za Florencyą i Atenami, choć się może ze stolicami owemi nie równa, choć jest w budownictwie mniej konsekwentną, a w malarstwie mniej idealną, a co do barwy niezaprzeczenie jest królową.

Barwę prostak lubi. Jest ona objawem światła, a światło źródłem wszelkiej naszej wiedzy, i nawet jestestwa naszego. Barwę widzi się pierwej nim się kształt widzi, ona jest źródłem większej części naszych pojęć, świat bez niej byłby pustynią. Ona jest powszednim chlebem naszej wiedzy i naszej duszy, dostępna dla wszystkich zarówno, i dla wszystkich zarówno niezbędna. Niech się estetyk wybredny w dumę nie wzbija, niech się po nad sztukę wenecką nie wynosi, mówiąc, że ona nic nie mówi. Prawda, że niedostępnym florentyńskim językiem nie przemawia, że nieprawi o misteryach i tajemnicach, że zrozumiała dla wszystkich, którzy mają zdrowe oko, i że wszystkim ziemskie i tuteczne uciechy przypomina, ale niemniej przeto wspaniale rozpowiada o naturze światła i o jego tajemnicach, a niemasz tego, komuby się nie warto u niej uczyć.

Co więcej — wenecka dopiero sztuka dała malarstwu stać się tak ułudnem, i tak efektownem jak rzeźba. Malarstwo florentyńskie i staro rzymskie jest widocznie cieniem, a weneckie jest na pozór prawdą, jest nią nawet po części w istocie. Tak jak rzeźba okazuje prawdziwe namacalne kształty, tak i weneckie i dopiero weneckie malarstwo jawi prawdziwe, bezpośrednio piękne barwy, i nie jest pięknem przez to o czem mówi, ale przez to czem jest. Tycyan nie powie ci tyle co Michał Anioł i Leonardo, ale da ci wprost przecudne barwy. Nie zamyślisz się nad obrazem weneckim, ale ujrzysz, że jest piękny. Podobnież i gmach wenecki nie odsłoni przed tobą ani abstrakcyi ideału, ani matematyki linii niedostępnej, o której dopiero myśleć musisz, ale za to okaże ci światło przecudnie łamane.

Więc jedź do Wenecyi, by piękno oczyma pożerać bez trudu, a gdy jechać nie możesz, spojrzyj na obrazy ostatniego malarza zagasłej rzeczypospolitej *Canatettego*, co już nie idealne jakieś miasta, ale prawdziwą, uroczą Wenecyą malował, aby północ choć na płótnie mogła ujrzeć owe cudowne pałace i czarowne oświecenia.

W. Dzieduszycki.

BŁĘDNE OGNIE.

Po nad starem cmentarzyskiem,
Nad powierzchnią bagien mszystą,
Błędne ognie blado, mglisto,
Fosforycznym skrzą się błyskiem.

Błędne ognie! zkąd wy rodem?
Co was nieci? co podsyca?
Jakich żarów, tam. pod spodem,
W was się zdradza tajemnica?

Myśl poety w wiecznej zwadzie
Z światem cyfer; wagi, miary,
Teoryom o ciał rozkładzie,
I o gazach, nie da wiary.

Nazbyt suche prawd tych brzmienia
Zadowolnić jej nie mogą,
Wciąż więc snuje nić marzenia,
Wciąż fantazyi buja drogą.

Błędne ognie! co w was pała?
Czy gdzieś, w głębiach mogilnika,
Jakaś, późno rozgorzała,
Dusza sobka, nieboszczyka,

Co za życia tłumiąc w sobie
Wszelki jasny płomień ducha,
Oszczędzonem ciepłem, w grobie,
Nad kurhanu darń wybucha?

Błędne ognie! co w was płonie?
Jakie gniewy dość złowieszcze?
Żeby w chłodnej ziemi łonie,
Nie wystygnąć nawet jeszcze?

Jaka miłość dość namiętna,
By nie zgasnąć w trumien cieśni?
Jak gromnica blada, smętna,
Starych krzyżów świecić pleśni?

Błędne ognie! co w was gore?
Czy pogróżka dla śmiertelnych?
Przez pękniętą ziemi korę,
Straszny odblask łun piekielnych?

Czy też lampki w was wspomnienia?
Co je boża litość święci,
Zmarłym, których czas wyplenia
Z krótkiej bliskich ich pamięci?

Błędne ognie! zkąd wy rodem?
Co was nieci? co podsyca?
Jakich żarów tam, pod spodem,
W was się zdradza tajemnica?

Paryż dnia 11. listopada 1876 r.

J. S. Chamiec.

KARTKA MIŁOŚCI.

POWIEŚĆ

EMILA ZOLI.

Spolszczyła

WINCENTA LIMANOWSKA.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy).

I.

Jednego rana Helena układała książki w biblioteczce swojej, którą przerzucała od dni kilku, kiedy Joanna wbiegła, skacząc i klaskając w ręce.

— Mamo! — zawołała — żołnierz! żołnierz!

— Co? żołnierz? — rzekła młoda kobieta.— Czego chcesz, z tym twoim żołnierzem?

Ale dziecię było w jednym ze swoich napadów szalonej wesołości; skakała coraz mocniej powtarzając: „Żołnierz! żołnierz!“ nie tłumacząc się wcale. Helena podniosła się i przez drzwi, które Joanna zostawiła była otwarte, ze zdziwieniem ujrzała żołnierza w przedpokoju. Rozalia wyszła była a Joanna musiała się bawić w sieni, pomimo wyraźnego zakazu matki.

— Czego chcesz, mój przyjacielu? — spytała Helena.

Żołnierz, zmięszany widokiem tak pięknej i tak białej pani, w rannym, ozdobionym koronkami ubiorze, pocierał nogą o posadzkę, kłaniał się i pospiesznie jąkał:

— Przepraszam... przepraszam...

I na nic więcej nie mógł się zdobyć; suwając wciąż nogami cofał się aż do ściany. Dostawszy się tutaj i nie mogąc już dalej posunąć się stanął, a widząc, że pani uśmiechając się, czeka na odpowiedź, żywo sięgnął do kieszeni prawej i wyciągnął z niej niebieską chustkę, nóż i kawałek chleba. Na każdy z tych przedmiotów popatrzał, a potem wetknął na powrót. Następnie, przeszedł do lewej kieszeni; tu był kawałek sznurka, dwa gwoździe zardzewiałe i obrazki, obwinięte w kawałek dziennika. Wszystko to wepchnął nazad i z miną niespokojną zaczął uderzać się po biodrach. I z nieśmiałością jąkał:

Przepraszam... przepraszam...

Nagle przytknął palec do nosa i szeroko zaśmiał się. Głupiec! przypomniał sobie. Odpiął dwa guziki surduta swego i przetrząsnął kieszeń, na piersiach będącą, do której wsunął ręce aż po łokieć. Nakoniec, wyjął list, który mocno strząsnął, jak gdyby z kurzu i podał go Helenie.

— List do mnie, jesteś tego pewny? — rzekła ta ostatnia.

Na kopercie było wypisane jej imię i adres wielkiem chłopskiem pismem. Dziwna ortografia i nadzwyczajne zwroty listu czyniły go dość niezrozumiałym; pojąwszy nareszcie o co w nim chodzi, Helena uśmiechnęła się znowu. Był to list od ciotki Rozalii; przysyła jej Zefiryna Lacour, na którego los padł „pomimo dwóch mszy, odprawionych przez księdza proboszcza“. A zatem, ponieważ Zefiryn jest narzeczonym Rozalii, prosi przeto panią, by pozwoliła dzieciom widywać się w niedzielę. Do prośby tej wracała wciąż, na wszystkich trzech stronicach i zawsze w tych samych wyrazach, tylko coraz bardziej zawikłanych, usiłując koniecznie wypowiedzieć coś, co jeszcze zostało niedomowionem. Wreszcie, zanim się podpisała, trafiła odrazu niby na to, o co jej chodziło, i napisała: „ksiądz proboszcz pozwala“, i szeroką kresę zrobiła piórem wśród mnóstwa kleksów.

Helena powoli złożyła list. Sylabizując go, dwa czy trzy razy podniosła głowę i rzuciła okiem na żołnierza. Przyklejony jak gdyby do muru, poruszał ustami i, lekko kiwając głową, zdawał się potwierdzać każdy wyraz; musiał umieć list cały na pamięć.

— A zatem, nazywasz się Zefiryn Lacour?— rzekła.

Zaczął się śmiać i potrząsał głową.

— Wejdź tutaj, mój przyjacielu; nie stój tam.

Ośmielił się wejść, ale stanął przy drzwiach; Helena usiadła. W niezbyt jasnym przedpokoju nie przypatrzyła mu się dobrze. Wzrostem musiał być zupełnie równy Rozalii; gdyby o jeden centymetr mniej, toby go nie przyjęto do wojska. Miał włosy rude, bardzo nisko ostrzyżone, brodę gładziutką, twarz zupełnie okrągłą, jak gdyby przyprószoną otrębiami, i małe oczka jak świderki. Nowy surdut, który miał na sobie, zawielki na niego, jeszcze bardziej zaokrąglał jego figurkę. Szeroko rozstawił nogi, okryte czerwonemi spodniami i machał czapeczką o szerokim daszku, którą trzymał w ręku. Głupowata mina poczciwego człowieczka, pod mundurem którego czuć było rolnika, śmieszyła, ale i rozczulała zarazem.

Helena chciała coś więcej dowiedzieć się od niego.

— Opuściłeś Beance ośm dni temu?

— Tak, pani.

— I oto jesteś w Paryżu. Nie gniewasz się o to?

— Nie, pani.

Ośmielał się i spoglądał po pokoju; obicia z niebieskiego aksamitu wielkie wrażenie sprawiały na nim.

— Rozalii nie ma — rzekła Helena; — ale wróci zaraz... Jej ciotka pisze mi, że jesteś jej narzeczonym.

Żołnierz nie odpowiedział nic; spuścił głowę, śmiejąc się niezręcznie, i końcem nogi zaczął pocierać dywan.

— A zatem masz ją zaślubić, jak tylko wyjdziesz ze służby? — mówiła dalej młoda kobieta.

— Z pewnością — odrzekł mocno czerwieniejąc się — z największą pewnością, to obiecane...

I ujęty uprzejmym wyrazem pani — obracając kepi między palcami, ośmielił się mówić dalej.

— Oh! dawno temu... kiedyśmy byli oboje mali, chodziliśmy razem na owoce. Nie mało kijów dostało się nam, co to, to prawda... Trzeba pani wiedzieć, że Lacour'owie i Pichon'owie mieszkali na tej samej ulicy, tuż koło siebie. A zatem, nieprawdaż? Rozalia i ja, to tak, jak gdybyśmy się przy jednej misce wychowali... Potem, wszyscy jej wymarli. Ciotka Małgorzata wzięła ją na swój chleb. Ale ona filutka, piorunem już wówczas wszystko robiła...

Zatrzymał się, czując, że się zapala, i głosem niepewnym zapytał:

— Może ona już to wszystko opowiadała?

— Tak, ale to nic — mów dalej — odpowiedziała Helena, którą to bawiło.

— Jednem słowem—opowiadał—była silna, co się zowie, chociaż nie większa od skowronka; trzeba było widzieć, jak u niej robota szła! Pewnego razu jednego z moich znajomych palnęła, ale palnęła! ho! ho! Cały tydzień miał on siną rękę. I ot tak to jakoś przyszło do tego. Wszyscy tam u nas żenili nas. No, i mając lat dziesięć umówiliśmy się... I umowa stoi, pani, stoi...

Położył rękę na sercu, rozszerzając palce. Helena spoważniała, słuchając go. Myśl wpuszczenia żołnierza do kuchni swojej, niepokoiła ją. Mógł ksiądz proboszcz zezwalać na to, ale jej się to trochę za śmiałem wydawało. Na wsi panuje zupełna swoboda, kochankowie nie widzą żadnych przed sobą przeszkód. Wyraziła więc swoje obawy. Kiedy Zefiryn zrozumiał ją, o mało nie pękł ze śmiechu, ale przez szacunek powstrzymywał się.

— Oh! pani, oh! pani... Widać, że ją pani nie zna. Co już ja od niej miałem! ho, ho! Nie lubi żartów! Mój Boże! chłopcy lubią się pobawić, ale ona paf! zaraz pali prosto w ucho! To ją ciotka nauczyła tego, nieraz jej mówiła: „Bądź ostrożna z chłopcami, to nie daje szczęścia.“ A do tego ksiądz proboszcz coś tam dorzucił jeszcze, i może dla tego przyjaźń nasza wytrwała dotąd... Mieliśmy się pobrać zaraz po ciągnieniu losów. Ale, bywaj zdrów! wszystko źle poszło. Rozalia powiedziała, że pójdzie na służbę do Paryża i, czekając na mnie, będzie sobie składała posag... I oto wszystko, oto wszystko...

Przestępował z nogi na nogę, przekładając kepi z jednej ręki w drugą. Helena milczała — jemu się zdało wówczas, że wątpi o wierności jego. To go mocno dotknęło.

— Może pani myśli, że ja ją oszukam — zawołał z ogniem. — Kiedy mówię pani, żeśmy sobie przysięgli! Ożenię się z nią, to tak pewne jak to, że teraz dzień... Gotów jestem podpisać to... Tak, jeżeli pani chce, zaraz podpiszę na papierze...

Mówił to z wielkiem wzruszeniem. Zaczął chodzić po pokoju, oczami szukając papieru i pióra. Helena usiłowała uspokoić go. On powtarzał:

— Wolałbym podpisać papier... Co to pani szkodzi? byłaby pani spokojniejsza potem.

Ale w tejże chwili Joanna, która była znowu znikła, wbiegła, tańcząc i klaskając w ręce.

— Rozalia! Rozalia! Rozalia! — śpiewała na skaczącą nutę, którą sama sobie komponowała.

W istocie, przez drzwi otwarte słychać było sapiący oddech służącej, która wracała z miasta, z pełnym koszem. Zefiryn cofnął się w róg pokoju; śmiał się cicho, a usta jego rozszerzyły się od ucha do ucha; w małych, świdrujących oczkach świeciła złośliwość chłopska. Rozalia weszła wprost do pokoju; weszło to już u niej w poufały zwyczaj, że co rano przynosiła do pani dla pokazania zakupione zapasy.

— Pani — rzekła — kupiłam kalafiory... Proszę zobaczyć!... Ośmnaście susów za dwa, to nie drogo...

I pokazywała na wpół otwarty koszyk, kiedy podnosząc głowę, ujrzała Zefiryna, stojącego z drwiącą miną. Osłupiała ze zdziwienia. Dwie lub trzy sekundy upłynęły, zanim go poznała pod mundurem. Okrągłe jej oczka rozszerzyły się; mała, tłusta twarzyczka zbladła; a twarde, czarne włosy poruszały się.

— Oh! — rzekła tylko.

I ze zdziwienia upuściła z rąk swój kosz. Wszystko się z niego posypało: kalafiory, cebule, jabłka, i t. d. Joanna, zachwycona, wydała okrzyk i rzuciła się na ziemię, na środku pokoju, uganiając się za jabłkami i szukając ich pod fotelami i pod szafą. Tymczasem, Rozalia jak gdyby sparaliżowana, nie ruszała się z miejsca i powtarzała tylko:

— Jakto! to ty!... Co tu robisz, powiedz? co tu robisz?

Odwróciła się do Heleny — i zapytała:

— To pani wpuściła go tutaj?

Zefiryn nie mówił nic, żartobliwie tylko mrugał oczami. Łzy rozczulenia zabłysły w oczach Rozalii; dla okazania mu radości swojej, że go widzi, zaczęła szydzić z niego; na nic lepszego nie potrafiła się zdobyć.

— Patrzcie! — rzekła zbliżając się — jaki on ładny, jaki zgrabny w tem ubraniu!... Mogłabym była przejść tuż koło ciebie i nie powiedziałabym nawet: niech będzie pochwalony!... Jak ty wyglądasz! Jak gdybyś miał budę na plecach. A jak ślicznie ogolili ci głowę; jesteś teraz zu-

pełnie podobny do pudla zakrystyana... Boże miłosierny! jakiś ty brzydki, jakiś brzydki!

Mocno zadraśnięty, Zefiryn otworzył nareszcie usta.

— To nie moja wina przecie... Gdyby ciebie posłano do pułku, zobaczylibyśmy jakby to było.

Oboje zapomnieli zupełnie, gdzie się znajdowali; ani też widzieli Heleny i Joanny, która wciąż zbierała jeszcze jabłka. Rozalia stanęła wprost naprzeciw żołnierza, z rękami założonemi na piersiach.

— A więc, wszystko u nas dobrze? — zapytała.

— A tak, tylko Gniguard'ów zachorowała. Sprowadzili konowała i ten powiedział, że u niej w środku woda.

— Jeżeli we środku woda, to już po wszystkiem... A zresztą, wszystko dobrze?

— Tak, tak, pastuch tylko złamał sobie rękę... Ojciec Camiré umarł... Ksiądz proboszcz, wracając z Grandral'u zgubił woreczek, w którym było trzydzieści susów... Zresztą, wszystko dobrze.

Zamilkli oboje. Błyszczącemi oczami patrzyli na siebie, lekko poruszając zaciśniętemi usty. Musiał to być ich sposób całowania się, bo przy powitaniu nie podali byli sobie nawet rąk. Nagle Rozalia otrzęsła się z tego zapomnienia się i zaczęła utyskiwać nad rozsypanemi jarzynami. Śliczny porządek! i to wszystko z jego łaski! Pani powinna była kazać mu zaczekać na schodach. I tak gderząc, pochylała się, zbierała rozsypane po podłodze jabłka, cebule, kalafiory i wkładała je na powrót do kosza, co mocno gniewało Joannę, która nie chciała, by jej pomagano. Kiedy wychodziła już do kuchni, nie patrząc więcej na Zefiryna, Helena, przejednana spokojnem zachowaniem się narzeczonych, zatrzymała ją — mówiąc:

— Posłuchaj, moja kochana, ciotka twoja prosi mię, bym pozwoliła temu chłopcu przychodzić do ciebie w niedzielę... Przyjdzie zatem po południu, ale staraj się, by służba nie bardzo ucierpiała na tem.

Rozalia zatrzymała się i głowę tylko odwróciła. Bardzo była zadowolona, pomimo to jednak miała minę nadąsaną.

— O! pani, będzie mi on przeszkadzał! — zawołała.

I przez ramię spojrzała na Zefiryna i znowu z wyrazem czułości poruszyła ustami. Żołnierz stał nieruchomy przez chwilę, wciąż śmiejąc się cicho. Wreszcie wyszedł, cofając się w tył, a zarazem dziękując i przyciskając swe képi do serca. Drzwi już były zamknięte, a on jeszcze się kłaniał na schodach.

— Mamo, to brat Rozalii? — spytała Joanna.

Pytanie to zakłopotało Helenę, i zaraz-że pożałowała pozwolenia, które dała w niespodzianym przystępie dobroci, a teraz sama temu się dziwiła. Milczała chwil kilka — wreszcie rzekła:

— Nie, to jej kuzyn.

— Ah! — rzekło dziecię poważnie.

Kuchnia Rozalii wychodziła na ogród doktora Deberle i zwrócona była na samo południe. Latem gałęzie wiązów wchodziły przez bardzo szerokie okno. Najweselszy to był pokój z całego mieszkania i tak mocno oświecony, że Rozalia musiała nawet zawiesić firankę z niebieskiego perkalu i zasłaniała nią okno po południu. Skarzyła się tylko na to, że kuchnia za mała i długa jak kiszka; piec był po prawej stronie, stół i bufet po lewej. Ale tak dobrze poustawiała kuchenne naczynia i meble, że przy oknie urządzić mogła mały kącik, gdzie pracowała wieczorem. Dumę swą zakładała na utrzymaniu w nadzwyczajnej czystości rądlów, samowarów, blatów. To też, kiedy słońce weszło do kuchni, mury jaśniały; mosiądz sypał złociste iskry, blacha świeciła jak srebro, tylko niebieskie i białe kafle pieca łagodną swą barwą gasiły ten pożar. Następnej soboty Helena usłyszała taki stuk w kuchni, że poszła zobaczyć, co się tam dzieje.

— Co to jest; — spytała — bijesz się z meblami?

— Myję, proszę pani — odrzekła Rozalia rozczochrana i cała spocona. Przykucnąwszy na ziemi, małemi swemi rękami z całych sił szurowała podłogę.

Skończyła — wytarła. Nigdy jeszcze kuchnia nie była tak piękna. Panna młoda mogłaby była tu spać, wszystko tu było białe jak do ślubu. Stół i bufet zdawały się być wyheblowane na nowo, tak je wygładziła palcami swojemi. A jaki porządek panował wszędzie! rądle i garczki zawieszone rzędem, podług wielkości swej, wszystko na swojem miejscu, nawet patelnia i roszt, na których nie było ani jednej plamki sadzy. Helena, milcząc, postała chwilkę; potem uśmiechnęła się i wyszła.

Odtąd każdej soboty powtarzało się to samo; cztery godziny z rzędu przepędzone w kurzu i w wodzie. Rozalia chciała pokazać Zefirynowi w niedzielę, jak jest czystą i porządną. Tego dnia przyjmowała u siebie. Byłaby się wstydziła, gdyby znaleziono u niej choć jednę pajęczynę. Kiedy wszystko już błyszczało dokoła niej, wówczas była wesoła i śpiewała. O trzeciej godzinie myła sobie jeszcze ręce i kładła czepek z wstążkami. Potem, zasunąwszy do połowy firankę perkalową, zmniejszała światło i oczekiwała Zefiryna; największy porządek panował wszędzie, a zapach tymianku i bobkowego drzewa rozchodził się dokoła.

O pół do czwartej Zefiryn zjawiał się; chodził po ulicy, dopóki na miastowym zegarze nie wybiło pół. Rozalia przysłuchiwała się, jak jego buty stukały o schody i otwierała mu drzwi, jak tylko zatrzymał się przed niemi. Zabroniła mu dzwonić. Za każdym razem też same przy spotkaniu się zamieniali z sobą słowa.

— To ty?

— Tak, to ja.

I tak stali tuż naprzeciw siebie, a małe ich oczka błyszczały i usta zaciskały się. Potem Zefiryn szedł za Rozalią; ale ta nie pozwalała mu wejść, zanim nie odebrała od niego kaszkietu i szabli. Nie chciała tego wcale w swej kuchni i chowała je zaraz w szafie. Wówczas sadowiła narzeczonego swego w kąciku, koło okna, i nie pozwalała mu ruszać się ztamtąd.

— Siedź spokojnie... Jeżeli chcesz, możesz patrzeć, jak będę gotowała obiad dla pani.

Ale Zefiryn nigdy prawie nie przychodził z próżnemi rękami. Zwykle ranek cały spędził był z kolegami, włócząc się po lasku Meudon, błąkając się po nim, próżnując i z nieokreśloną tęsknotą do rodzinnego miejsca łykając powietrze. Chodząc, rznął pręciki, obcinał je i ozdabiał rozmaitemi arabeskami; zwalniał wówczas kroku, zatrzymywał się nad rowami i z kaszkietem, zsuniętym na szyję, nie spuszczał z oczu noża, z którym szperał po lesie. Potem nie chcąc już porzucać tych patyczków, przynosił je do Rozalii; ta odbierała mu je z rąk i gniewała się trochę, że jej zanieczyszcza kuchnię. W rzeczywistości jednak zbierała je; pod łóżkiem swojem miała cały ich pęk, rozmaitej wielkości i rozmaitych deseni.

Jednego dnia przyniósł całe gniazdo, pełne jaj; ułożył je był w głębi kaszkietu swego i przykrył chustką. Jajecznica z ptasich jaj doskonała jest, mówił. Rozalia wyrzuciła to szkaradzieństwo, ale schowała gniazdo, które poszło do pręcików. Zresztą, zawsze miał pełniutkie kieszenie. Wydobywał z nich rozmaite osobliwości: przezroczyste kamyczki, znalezione na brzegu Sekwany; stare żelaziwo; dzikie, uschnięte jagody i nie wiedzieć jakie szmatki, które gałganiarze już odrzucili byli. Obrazki lubił namiętnie. Zbierał papierki, którymi obwinięte były niegdyś czekolada lub mydło, bo były na nich wizerunki murzynów i palm, bajader i krzewów róż. Wierzchy starych popsutych pudełek, na których znajdowały się piękne, rozmarzone blondynki; ryciny lakierowane i srebrny papier od smażonego cukru, rzucone na targach okolicznych, to były wielkie zdobycze, któremi serce jego niesłychanie radowało się. Cały łup znikał w kieszeniach; najpiękniejsze kawałki osobno obwijał papierem. A w niedzielę, kiedy Rozalia miała wśród swego gotowania swobodną chwilę czasu, pokazywał jej swoje obrazki. Były dla niej, jeżeli ich chciała; tylko, ponieważ papier dokoła nie zawsze był czysty, on sam wykrawał obrazki, co go niezmiernie bawiło. Rozalia gniewała się, strzępki papieru leciały aż do potraw, i trzeba było widzieć, z jaką przebiegłością chłopską chwytał u niej nożyczki. Czasami, chcąc się go pozbyć, nagle sama mu je dawała.

W ryneczce masło rumieniło się i syczało. Rozalia z drewnianą łyżką w ręce pilnowała sosu; Zefiryn, z pochyloną głową, z szerokiemi ramionami, które podnosiły jeszcze czerwone epolety, wykrawał obrazki. Włosy miał tak nizko ostrzyżone, że z pod nich widać było skórę; żółty kołnierz odstawał z tyłu, odkrywając opaloną szyję. Godzinami całemi czasem nie mówili do siebie wcale. Zefiryn, podniósłszy głowę, z żywem zajęciem patrzał na Rozalię, jak brała mąkę, siekała pietruszkę, soliła lub pieprzyła. Wówczas, od czasu do czasu, jakieś słówko wyrywało mu się.

— Patrzcie! jak to pachnie!

Kucharka, cała zaabsorbowana czynnością swą, nie raczyła odpowiedzieć mu zaraz. Po długiem dopiero milczeniu, rzekła z kolei:

— Bo to widzisz, trzeba żeby się na wolnym ogniu gotowało.

I cała ich rozmowa kończyła się na tem. Nawet o rodzinnych stronach nie mówili z sobą. Jeżeli coś przypomnieli sobie, dość im było jednego słówka, a zrozumieli się doskonale i śmieli się sami do siebie całe poobiedzie. To im wystarczało. Kiedy Rozalia wyprawiała Zefiryna za drzwi, oboje już przyjemnie się ubawili.

— No, idź! Będę podawała do stołu.

Oddawała mu kaszkiet i szablę i wypychała go z kuchni; potem z rozpromienioną twarzą podawała pani obiad; a Zefiryn, machając rękami, wracał do koszar, unosząc z sobą zapach tymianku, który go przyjemnie upajał.

Z początku Helena sądziła, że musi pilnować ich. Czasami niespodzianie wchodziła do kuchni, niby dla wydania jakiegoś rozkazu. I zawsze znajdywała Zefiryna w jego kąciku, między stołem a oknem. I jak tylko pani wchodziła, stawał wyprostowany i nie ruszał się z miejsca. Jeżeli przemówiła do niego, odpowiadał tylko ukłonem i mruczał coś niezrozumiale. Powoli, Helena się uspokoiła, widząc, że nigdy wejście

jej nie przeszkadza im, i że zawsze na twarzach swych mają wyraz cierpliwych kochanków.

A nawet Rozalia wyglądała wówczas daleko śmielszą od Zefiryna. Od kilku miesięcy była w Paryżu i okrzesała się już trochę, chociaż trzy ulice tylko znała dotychczas: ulicę Passy, ulicę Franklina i ulicę Vineuse. Zefiryn i w pułku pozostał gapiem. Rozalia utrzymywała, że „głupiał,“ bo we wsi z pewnością był mądrzejszy. To pochodziło od munduru, mówiła; chłopcy, co zostaną żołnierzami, strasznie głupieją. W istocie, Zefiryn odurzony nowem życiem, miał okrągłe oczy i kołysał się, chodząc, jak gęś. Pod epoletami żołnierza pozostała w nim ociężałość chłopa; nie nauczył się w koszarach ani pięknej mowy, ani zwycięzkiego ujmującego układu elegancików paryskich. Oh, pani mogła być spokojna! to nie jemu w głowie swawola!

To też Rozalia traktowała go po macierzyńsku. Ustawiając roszt, uczyła Zefiryna, nie żałowała mu dobrych rad i przestróg, jak ma unikać przepaści; on słuchał i kiwnięciem głowy popierał każdą jej uwagę. Każdą niedzielę musiał jej przysięgać, że był w kościele na mszy i że pobożnie odmówił ranne i wieczorne pacierze. Zachęcała go także do porządku; kiedy wychodził, czyściła trochę jego ubranie, przyszyła odpruty guzik; oglądnęła od stóp do głowy, patrząc, czy wszystko było w porządku. Troszczyła się też o jego zdrowie i dawała mu przepisy od rozmaitych chorób. Zefiryn, wywdzięczając się za jej przychylność, zaproponował, że przyniesie wody do zbiornika. Długo sprzeciwiała się temu, bojąc się, by nie rozlał wody. Ale raz wniósł dwa wiadra na górę i nie rozlał ani kropli, odtąd zawsze w niedzielę napełniał zbiornik. Za tem poszły inne posługi; wszystkie cięższe roboty on wykonywał, a nawet jeżeli zapomniała wziąć masła, kupował je bardzo dobrze w owocarni. Nakoniec, wziął się do kuchni. Najprzód obierał jarzyny. Potem, pozwolono mu siekać je. Po sześciu tygodniach, nie dotykał się wprawdzie do sosów, ale z drewnianą łyżką w ręku pilnował ich. Rozalia zrobiła z niego pomocnika swego i czasami wybuchała śmiechem, patrząc, jak w czerwonych swych majtkach i w żółtym kołnierzu ze ścierką na ramieniu jak kuchcik kręcił się koło pieca.

Jednej niedzieli Helena weszła do kuchni. Kroków jej nie było słychać, bo była w pantoflach; stanęła na progu tak, że ani służąca, ani żołnierz nie usłyszeli jej. Zefiryn siedział w kąciku przed filiżanką dymiącego się bulionu. Rozalia, plecami do drzwi odwrócona, krajała mu długie kromki chleba.

— Na, jedz mój mały! — mówiła. — Za wiele chodzisz i to cię męczy... Masz! czy dosyć już? czy chcesz jeszcze?

I czułem a niespokojnem okiem patrzyła na niego. Zefiryn szeroko się rozparł na stole przed filiżanką i za każdym kęsem połykał kromeczkę chleba. Twarz jego żółta jak otręby zaczerwieniła się od pary, co ją oblewała.

— A niechże cię! co za sok! — mruczał żołnierz. — Co ty tam kładziesz do tego?

— Zaczekaj — odrzekła — jeżeli lubisz pory...

Ale obróciwszy się, spostrzegła panię i lekko krzyknęła. Oboje skamienieli z przerażenia. Ale po chwili Rozalia zaczęła się tłumaczyć potokiem słów.

— To moja część, pani, na prawdę... Nie byłabym już wzięła bulionu.... Przysięgam na wszystko! Powiedziałam mu: jeżeli chcesz moją część bulionu, to ci ją dam... No, mówże, ty wiesz przecie, że to tak było...

I zaniepokojona milczeniem swej pani, sądząc, że się gniewa na nią, mówiła dalej złamanym głosem:

— Umierał z głodu, pani; ukradł mi był surową marchew... Tak ich źle karmią! I chodził Bóg wie jak daleko — wzdłuż rzeki... Pani sama byłaby mi powiedziała: Rozalio, dajże mu bulionu...

Helena spojrzawszy na żołnierza, który stał wyprostowany z pełną gębą, nie śmiejąc połknąć, nie mogła być surową i odpowiedziała łagodnie:

— A więc, moja kochana, kiedy będzie głodny, to go zaprosisz na obiad, ot i wszystko... Pozwalam ci.

I znowu, wobec tych dwoje kochanków uczuła się rozrzewnioną jak wówczas, kiedy mu pozwoliła przychodzić do kuchni! Tak szczęśliwi byli tutaj! Przez firankę na wpół przysłoniętą widać było zachodzące słońce. Miedziane naczynia paliły się w głębi na murze i czerwonawe światło rzucały na pokój. A w cieniu dwie małe, okrągłe twarzyczki, spokojne i jasne odbijały jak księżyc. Z sercem wesołem, ze spokojem ducha i ciała, żyli tu wśród kuchennych zapachów, żadnem pragnieniem nie wylatując po za ciasne ściany, co ich otaczały.

— Mamo — spytała Joanna wieczorem po długim namyśle — dla czego kuzyn Rozalii nie całuje jej nigdy?

— A dla czego chcesz, żeby się całowali? — odpowiedziała Helena. — Pocałują się w dzień swych imienin. (C. d. n.)

TYDZIEŃ LWOWSKI.

Lwów dnia 8. sierpnia.

Bohaterem ubiegłego tygodnia, bez zaprzeczenia był festyn strażacki, który na wielką uciechę spragnionej zabaw publiczności lwowskiej i na pożytek Ochotniczej straży ogniowej — odbył się podług zapowiedzianego programu w niedzielę.

Nie powiem, żeby komitet przygotowujący tę zabawę nie miał pewnego strachu, zważywszy, iż podejrzliwej natury obłoki pokazujące się na zachodzie miały wielką ochotę również Ochotniczej straży wyrządzić niejakiego figla. Dlatego już o godzinie drugiej po południu, zaczęły grzmieć działa z miejskiej strzelnicy przywodząc do rozpaczy i właścicieli i lokatorów nowo-zbudowanych realności we Lwowie, które i bez strzelania już trzęsą się i skrzypią od żywszego chodzenia po pokojach.

Puszczamy się tedy na ową górę Wysokiego zamku, gdzie zawsze bezpieczniej jest podczas takiej kanonady, bo tam prócz dobrze stojącego restauratora i licho grającej damskiej orkiestry nikomu nie grozi upadek. Kupujemy bilet wejścia za dwadzieścia centów, bilet brzemienny przyszłością perspektywicznej wygranej losu krakowskiego, który znów dźwiga perspektywiczne brzemię wygrania trzydziestu tysięcy guldenów, jak o tem zapewniał sążniowy plakat rozlepiony po ulicach. Wielki Boże, aż załamałem ręce, zobaczywszy jak poczciwy ludek lwowski *skrakowił się* pożądając tak skwapliwie losu krakowskiego! Co to będzie jak jeszcze heretyka Wołowskiego z Harapem pozbędzie się gród podwawelski, już tylko same relikwie będziemy ztamtąd sprowadzali!

Wpuszczony w zaczarowane koło posiadacz biletu, przeszedłszy łuk tryumfalny zawieszony papierowemi w różnych kolorach torebkami, odrazu zostaje odurzony na wszystkie pięć zmysłów: Muzyka damska, niewinna jak jej reprezentantki, ubrane w bieli ze szkarłatnemi przepaskami przez ramię, pełna entuzyazmu wojennego jakby po zwycięstwach w Bosnii i Hercogowinie, grzmi orkiestra pułku Holsztein, Harmonia rodowita nasza lwowska dogaduje im z werwą, nie zważając na przemagające siły nieprzyjacielskie, a kwilenie tych uciemiężonych niewinności, które pozamykane w klatkach oczekują z bolem serca swojego losu, dodaje pewnego uroku całości, i w miłej fali tonów, niby w Oratoryum stworzenia płynie do ucha słuchaczy.... Żaden jeszcze kompozytor muzyczny w tak dotykalny sposób nie wprowadził do utworów swoich żywych instrumentów w postaci gęsi, kur i kaczek i psów i prosiąt i wrzasku dzieci i klaskań publiczności... A woń, jaka rozkoszna woń tego wszystkiego połączona ze spalenizną sznycli wiedeńskich męczonych na fałszywem maśle? Czytelniku smakoszu, żałuj żeś tam nie był.... O wzroku już nie mówię, ten formalnie jak wół przeznaczony na sprzedaż w Oświęcimiu pasł się od godziny czwartej do jedenastej widokiem powabnych postaci, świeżych jakby prosto z drzewa zerwanych Lwowianek.... Jeżeli który z młodych przyjaciół moich wyszedł z pośród tego gradu zabójczych spojrzeń z nienaruszonem sercem, musi być kamieniem, którego przeznaczam do walki pod Mostarem, jestto człowiek zdolny tylko do zabijania baszybożuków.

O ataku na zmysły dotykania, najlepiej powiedzą moje nagniotki, choć za to dusza moja wyniosła to miłe przekonanie, że choć raz w życiu widziała prawdziwie braterskie ściskania się tylu zgromadzonych Lwowian różnego wieku, stanu, płci i przekonań politycznych.

Na prawo i lewo, fortuna bez zawiązanych oczu, ale zapieczętowana w maleńkich zwitkach papieru, darzy za dziesięć centów swoją czystością wewnętrzną amatorów-nabywców. Poczciwcy ci, nie zważając na potrącania przechodniów, rozwijają z zapałem swoje karteczki, a bicie ich ciekawego serca słychać o trzy kroki, a światłość ich oblicza gdy pokaże się jaki numer, zastępuje papierem osłonięte kinkiety iluminacyjne. Namiot z fantami jest w oblężeniu prowadzonem z daleko energiczniejszemi atakami niż kiedyś Plewny.... Setki rąk wtykają naraz swe losy rozdawcom fortuny, a wszędzie słychać upominania się o fanty, a wszędzie krytyki przy oglądaniu, bo los figlarz dał prosię żydówce i to chorującej na katar żołądkowy, paczkę szpilek łysym, parę trzewików dziecinnych staremu kawalerowi, a flaszeczkę wody kolońskiej prowizorowi z apteki.

O godzinie 6ej psi herold z przyprawionym nosem i z przyprawionemi ryżemi bakenbardami, w towarzystwie germka i trębacza zapowiada wyścigi. Sznurami otoczono teren wyścigowy, tłumy ciekawych tłocząc się naprzód, próbują wytrzymałości owych sznurów, a poważni właściciele biegunów, pomiędzy którymi widzieliśmy i damę czarno ubraną, namawiają swoich faworytów, aby nie gardziły pieczenią czekającą ich u mety. Trąbka daje znak, wygłodzone psięta, powiększej części pokojowe, puszczają się na kolacyą, a publiczność nawet ta, która zawisła na gałęziach kasztanów, przyjmuje ten wyścig z obojętnością. Tuż obok na murawie także sznu-

rem okolonej, odbywa się kurs moralności dla młodzieży naszej, w jaki to sposób ryjąc twarzą w misce napełnionej mąką, zarobić można srebrnego guldena. Dowódzca spektaklu umieściwszy ową miskę na krześle, a krzesło na jakiejś pace, z powagą godną lepszej sprawy, zapuszcza owego guldena w sam środek miski, gdy inni przemocą wstrzymują kandydatów cisnących się do wyjmowania. Jakby na szafot jaki wstępują wyrostki o ile z ubrania sądzić mogliśmy, zapewne uczniowie szkół publicznych, którym ułożywszy ręce za plecami, proponuje się wydobycie z mąki błyszczącego guldena. Tu zbliża się kulminacyjny punkt widowiska; gdy chciwość młodych chłopaków nurtuje nosem w mące, zatyka nią usta, a nie mogąc wytrzymać dłużej bez oddechu, parska niby fontanną ku wielkiej uciesze zgromadzonej publiczności... Widok tego wstręt budzi z niebardzo pochlebnym epitetem dla inicyatorów tej zabawy... Moi zacni panowie, róbcie sobie co chcecie dla zwabienia publiczności na taki festyn, lecz nie zamieniajcie w publicznych błaznów tych niedorostków, zachęcając ich tak łatwym zarobkiem do pozbywania się wstydu i godności człowieczej... Dziwi nas tylko, że publiczność toleruje podobne bezsensowe figle... godne niemieckiego kuglarza!

Ognie sztuczne udały się przewybornie: młynki dyabelskie funkcyonowały z szumem, trzaskiem i pękaniem rac w różnokolorowe gwiazdy. Bengalskie ognie i słońce elektryczne olśniewało widzów dając naturalne grupy żywych obrazów z otwartemi ustami zachwytu... I wszystko poszłoby dobrze: fanty rozkupiono co do jednego, ochotnicza straż zebrała coś 1.500 guldenów, publiczność była zadowolniona, gdyby w końcu nie zabrakło piwa!... Tak, moi czytelnicy, wyobraźcie sobie rozpacz utrzymującego bufet na Wysokim Zamku: o godzinie dziesiątej nie było już kropli piwa — nawet w butelkach, a tu właśnie jakby na złość opanowało parotysięczny tłum jeneralne pragnienie. „Królestwo za kufel piwa!“ — wołano ze wszech stron, gdy zdesperowani kelnerowie z ręcznikami na ramionach tylko rozkładali ręce pokazując na dłoni, że nie ma. Zdaje się, że nic podobnego jeszcze się we Lwowie nie przytrafiło, i jeżeli szanowny dzierżawca restauracyi nie odchorował ciężko tego wypadku, to musimy go uważać za człowieka pozbawionego wszelkiego ludzkiego honoru!

Darują czytelnicy, że wobec takiego festynu muszą na drugi plan zejść wszelkie tego rodzaju drobne wiadomości, jak pobicie huzarów w Bośni, lub projekt Wydziału krajowego o przyjście z pomocą właścicielom dóbr przy melioracyi majątków ziemskich... Przez całe dwa dni nikt we Lwowie o niczem innem nie mówi jak o festynie strażackim i braku piwa, zatem i sprawozdawca tygodniowy dopóki nie nastąpi kompletne uspokojenie umysłów — wiesza swoje pióro na kołku i z bronią u nogi oczekuje cierpliwie, dopóki wzburzona fala nie zejdzie do zwykłego poziomu.

WYCIECZKA NA ZJAZD PEDAGOGICZNY

DO NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy.)

Z całego serca cieszymy się z uchwały zgromadzenia zapadłej po odczytaniu referatu dr. Gerstmana, przemawiającego imieniem głównego zarządu. Uchwała ta wzywa zarząd główny, aby wystosował petycyę do Sejmu o dodatkowy paragraf dla ustawy przemysłowej z dnia 20. grudnia 1859. Ten dodatek opiewałby: „Właściciel fabryki, lub rzemieślnik nie może przyjąć terminatora (praktykanta), który nie wykaże się, że ukończył w zupełności i z dobrym postępem pospolitą szkołę ludową“.

W ciągu posiedzenia nadszedł telegram zapraszający na zjazd przyszłoroczny do *Drohobycza*, miasto *Brody* nadesłało jednogłośną uchwałę rady miejskiej, zapraszającą Towarzystwo na zjazd najbliższy do tego miasta. Zarząd oddziału stryjskiego zawiadomił zarząd główny, że i miasto *Stryj* gorąco pragnie zaprosić pedagogów do siebie, *Kołomyja* także zaprasza, więc słusznie odezwał się poseł, zdając o tych zaprosinach relacyę, że jak o Homera spierało się miasto greckie, tak miasta polskie ubiegają się w gościnności dla pedagogów. Ponieważ już roku zeszłego na zjeździe tarnopolskim uchwalono: po zjeździe sandeckim odbyć zjazd w Brodach, przeto w myśl dawnej uchwały, postanawia zgromadzenie przyjąć zaproszenie rady miejskiej brodzkiej.

Posiedzenie urozmaicone, pracowite. Prócz wymienionych spraw, załatwiono wiele wniosków oddziałów Tow. i kółek pedagogicznych. Między innemi ponowiono wniosek uzupełnienia Rady szkolnej krajowej reprezentantami nauczycielstwa. Po południu odbyły się posiedzenia i narady sekcyi dla szkół ludowych i średnich i konferencya dyrektorów szkół żeńskich, założonych przez Tow. pedagogiczne. W konferencyi dyrektorów brali udział: p. Bronisław Trzaskowski w imieniu szkoły tarnowskiej, p. Leopold Weigel w imieniu kołomyjskiej, p. Czesław Pieniążek w imieniu szkoły stryjskiej, p. Piotr Parylak w imieniu stanisławowskiej, p. Tomasz Tokarski w imieniu rzeszowskiej i delegat zarządu głównego p. Bolesław Baranowski.

Teraz spieszmy za miasto do ogrodu strzeleckiego. Gwarno, ochoczo. Poznają się koledzy i przyjaciele jeszcze ze „sztuby,“ przypominają dziś kolegom w zawodzie dawni ich uczniowie, przeróżne swoje studenckie figle i po ich wspomnieniu poznają się. Muzyka zagrała, młodzi biorą się do tańca. Przyjemne to dla każdego chwile, najmilsza godzina wakacyi. Każdy czuje się jakby w rodzinie najbliższej i nikną, prepadają drobiazgowe ambicyjki, dysharmonie, kwasy, wszyscy zbratani serdecznie w imię wspólnego hasła: „Praca dla narodu“.

Chmury gęste na niebie i chłód już dojmuje nie letni, czas do miasta, gdzie gościnne czekają kwatery.

Piątek 19. lipca jasny, zaczął się pogodnie. Nadzieja wstępuje w duszę, że będzie można bezpiecznie puścić się w Tatry. Przed szkołą wydziałową gwar się zwiększa, gromada wzrasta, wnet zacznie się posiedzenie, a tymczasem snują się projekta przeróżne wycieczek w Tatry i Pioniny.

Dziewiąta dochodzi, rozpoczyna się posiedzenie. P. *Potocki* przedkłada referat z wczorajszego posiedzenia sekcyi dla szkół ludowych. Z referatu tego dowiadujemy się, że nauczyciele ludowi zastanawiali się nad potrzebą zmian planu lekcyjnego i uchwalili polecić oddziałom pedagogicznym, aby uwagi swe w tym przedmiocie przedkładały głównemu zarządowi. Dr. Józef *Żuliński* wykazywał w sekcyi korzyści nauczania w szkołach ludowych robót ręcznych, mianowicie z drzewa, słomy i t. d.

Ponieważ narady w sekcyi szkół średnich nie ukończone, przeto referent dr. *Lewicki* Anatol odkłada sprawozdanie do następnego posiedzenia, a na trybunę wstępuje p. Czesław *Pieniążek*, profesor szkoły realnej w Stryju i radny tego miasta. Jako delegat oddziału stryjskiego i rady miejskiej, przedkłada piśmienne zaproszenie od rady miejskiej na zjazd do Stryja; ubolewa iż nie udało się Stryjowi wyprzedzić Brodów w zaproszeniu i składa imieniem miasta i oddziału stryjskiego wyrazy sympatyi i uszanowania dla prac Towarzystwa pedagogicznego. Na wniosek prezesa podziękowało zgromadzenie przez powstanie miastu Stryjowi za ten objaw prawdziwie obywatelskiej życzliwości.

Stosownie do porządku dziennego referuje dr. *Gerstman* o wnioskach p. Michała *Chylińskiego*, dążących do utworzenia w łonie Towarzystwa pedagogicznego sekcyi dla szkół średnich. Dr. Gerstman oświadcza się imieniem zarządu głównego przeciw temu wnioskowi ze względu, że wytworzyłoby się w Towarzystwie szkodliwe rozdwojenie, pociągające za sobą rozdwojenie w nauczycielstwie; dodaje też, że statut musiałby z gruntu zostać zmieniony, bo w istniejącym nie przewidziano takiego dualizmu. Pan Jan *Lewicki* profesor gimnazyalny z Przemyśla, zabiera głos i mężnie staje do walki z referatem dra Gerstmana. Słowem płynnem, gorącem domagał się uwzględnienia wniosków Chylińskiego bodaj o tyle, aby czasopismo „Szkoła“, specyalny dla profesorów szkół średnich zawierało dodatek, aby zarząd główny i Towarzystwo całe zajmowały się goręcej sprawami szkół średnich, które dotychczas po macoszemu traktują, przez co też i nauczyciele szkół średnich w zjazdach mały udział biorą: dr. *Benoni* przekonywająco odparł, że dualizm byłby szkodliwy, a co do „Szkoły“ to i funduszów brak i współpracowników na dodatek żądany. Odpiera też zarzut prof. Lewickiego, jakoby Tow. pedagogiczne po macoszemu obchodziło się ze szkołami średniemi. Przeciwnie, zapewnić może, że towarzystwo „Mittelschule“, specyalnie szkołom średnim poświęcone, nie zajmuje się niemi więcej od naszego Towarzystwa, zaś najważniejszy powód mniejszego zajęcia się sprawami pedagogicznemi i dydaktycznemi ze strony nauczycieli szkół średnich upatruje dr. Benoni w tem, że wielu nauczycieli szkół średnich wstępuje wprost bez metodycznego wykształcenia do zawodu nauczycielskiego. Pozbawieni szczególnego zamiłowania do zastanawiania się nad kwestyami tego rodzaju i wyrobiwszy sobie swój własny system nauczania, według osobistej kwalifikacyi lepszy lub gorszy, nauczyciele ci już w tym kierunku mało się rozwijają. Wykształcenie metodyczne nauczycieli szkół średnich za pomocą seminaryów pedagogicznych dla nauczycieli tej kategoryi szkół uchyli zdaniem mowcy liczne niedostatki w tej mierze. Pan *Pieniążek*, uznając najlepsze zamiary p. Lewickiego, prosi go, aby wskazał środki, któremiby można stworzyć i utrzymać taki dodatek. Wiedząc z góry, że oponent tych środków nie wskaże, przystępuje w zupełności do wniosków zarządu głównego, które opiewają: 1. nad wnioskiem p. Chylińskiego przechodzi się do porządku dziennego; 2. zgromadzenie uznaje, iż jest rzeczą pożądaną, aby tak na zjazdach, jako też i w „Szkole“ *w miarę możności* zajmowano się sprawami szkół średnich.

Dyskusya przeciągała się zbytecznie nad tym przedmiotem, to też postanowiono ją zamknąć, lecz przed zamknięciem, zabrał jeszcze głos p. *Trzaskowski* i zgadzając się z dr. Benonim co do przyczyn obojętności nauczycieli szkół średnich względem spraw pedagogicznych, dodaje, iż do przyczyn uznanych dodać jeszcze należy inne. Oto, według mowcy, winni tu i dyrektorowie, bo zły dają przykład i uchylają się od Towarzystwa pedagogicznego, od jego celów, od jego prac. *Nie spadłaby im korona z głowy*, mówi mowca, gdyby tu byli. W Prusiech odbywają się coroczne konferencye dyrektorów i wybitniejszych nauczycieli. Konferencye te przedkładają swe wnioski i rezolucye ministrowi oświaty i znajdują zawsze posłuch gdzie potrzeba i uznanie. Ministerstwo pruskie wysyła na te zebrania delegatów i sprawozdawców. Mowca przedłożył analogiczny projekt radzie szkolnej krajowej i umotywował go dokładnie, lecz dotąd żadnej nie otrzymał odpowiedzi, mimo że czeka na nią dwa lata. Prywatnie oświadczył mowcy jeden z inspektorów, że od takich konferencyi, niczego nauczyć się rada szkolna nie może.

Dodamy tu od siebie, że konferencye takie już z tego względu byłyby przydatne i potrzebne, bo na nich mogliby dyrektorowie porozumiewać się nad środkami utrzymania jednolitości nauki. Jak niezbędne są konferencye nauczycieli klas równorzędnych, tak konieczne też owe dyrektorów.

Mowa dyrektora Trzaskowskiego, wywołała grzmoty oklasków.

Po tej ożywionej dyskusyi, odczytuje p. Romuald *Starkel* sekretarz głównego zarządu, uprzejmy list hr. Edwarda *Stadnickiego*, zapraszający całe zgromadzenie na wycieczkę do Nowojowej, majętności hr. Stadnickiego.

Nastąpił referat p. Stefana *Kuryłowicza* w sprawie wydawnictwa „Szkoły“. Sympatyczny ten mowca, energicznie domagał się większego poparcia wydawnictwa ze strony członków. Prawdziwie jak Jowisz piorunujący gromił ospałych i ociągających się z prenumerowaniem czasopisma tyle pożytecznego, tak potrzebnego każdemu pedagogowi. Pan *Spis* z Prze-

myśla uczynił wniosek i popierał go wymownie, aby „Szkoła“ wyłącznie sprawom szkół ludowych otwarła swe kolumny. W przedmiocie tym wielu mowców głos zabierało, wreszcie uchwalono wyrazić uznanie i podziękowanie obecnemu redaktorowi „Szkoły“, profesorowi Lucyanowi *Tatomirowi*, za sumienne i umiejętne pełnienie przyjętego obowiązku.

Po załatwieniu tych spraw, zaproszono na członków honorowych p. *Beneszka* starostę w Jarosławiu, ks. *Ostrowskiego* proboszcza w Brzeżanach i księcia Jerzego *Czartoryskiego* z Wiązownicy. Wszyscy ci mianowani panowie znakomicie zasłużyli się szkolnictwu i oświacie narodowej.

Nastąpiło wreszcie czytanie projektu nowego statutu. Przyjęto wszystkie zmiany według referatu dr. *Zgórskiego*. Na tem posiedzenie zamknięto.

Po południu obrady w sekcyach, a o 5tej ciągnie wózek za wózkiem, same jednokonne, milę za miasto do Nowojowej. Deszcz drobny rosi, niebo smutne, ciemne, ale w sercach jasno, więc ochoczo się jedzie.

Zameczek nie wielki, przyjemne wywiera wrażenie, piękny położeniem i niezwykłą już dziś w willach i zamkach, rozmaitością linii i konturu, powabny mięszaniną elewacyi architektonicznych.

W ogrodzie zastawiono gościnne stoły, przy których oboje gospodarstwo serdecznie gości przyjmowali. Toasty następywały piękne po sobie, a to: hr. *Stadnickiego* na cześć Towarzystwa, *Sawczyńskiego* na cześć gospodarza i ziemi sandeckiej, *Baranowskiego*, dr. *Strzeleckiego*, dyrektora *Stawarskiego* i td.

Dunajcem ku Wiśle, echem ku Tatrom rozchodziło się ruskie „Mnohaja lita“. Deszcz niestety przeszkodził gościnności pp. Stadnickich, to też zawołał prezes: „Czas do domu czas“ i wychylił strzemiennego, a gromada ugoszczona podążyła do swych wózków i pod parasolami dobiła się do miasta.

(Dok. nast.)

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ *Pamiętniki jenerała Jeziorańskiego* wyjdą wkrótce z druku nakładem autora i obejmą epokę od 1846 r. do 1864, jest to okres dziejów naszych bardzo ważny, w którym autor odgrywał niepoślednią rolę i może dostarczyć wiele cennych i nieznanych szczegółów dla przyszłego historyka. Wiemy, iż autor posiada piękny zbiór dokumentów, który zamierza dołączyć do dzieła. Spodziewamy się, że publiczność zechce poprzeć to wydawnictwo przez liczne przystępowanie do prenumeraty, która wynosi 2 złr. 50 ct. Prenumeratę można także nadsyłać za pośrednictwem redakcyi *Tygodnia*.

⁂ *Kalendarz ludowy illustrowany*. Księgarnia Polska widząc brak zupełny kalendarza dla ludu, gdy inne wydawane w Galicyi temu celowi nie odpowiadają postanowiła podjąć to wydawnictwo. Właśnie pierwszy na rok 1879 oddanym już został do druku.

⁂ Dowiadujemy się, iż wydawnictwo *Strzechy* zwiniętem zostanie, a natomiast ma być wydawane pismo tygodniowe w rodzaju *Biesiady literackiej*, której jeżeli potrafi dorównać treścią, illustracyami i niską ceną, może oddać nie małe usługi naszej prowincyi i zastąpi brak dotychczasowy podobnego pisma w Galicyi. Pismo takie, przeznaczone dla najszerszych kół czytających, aby odpowiedziało swemu zadaniu, musi mieć kierunek wybitnie narodowy, w przeciwnym bowiem razie stworzyłoby się tylko niepotrzebną konkurencyę pismu warszawskiemu, które w swoim zakresie odpowiada celowi.

⁂ Księgarnia Reinwalda w Paryżu wydała niedawno ważną fizyologiczno-psychologiczną pracę o „Rozwoju zmysłu kolorów“ (Sur l'evolution du sens des couleurs) profesora Magnusa, poprzedzoną wstępem filozoficznym Juliusza Soury. Ma to być, jak utrzymuje „La Republ. Fr.“ jeden z najbardziej godnych uwagi rozdziałów filozofii współczesnej.

⁂ W przeszłym tygodniu, jak donosi Józef Wieniawski, odbył się w Paryżu w „Hotel Continental“ wielki festyn, wydany przez kompozytorów zagranicznych. Kolonia polskich artystów była tu bardzo licznie reprezentowana, były mowy, toasty. Festynowi przewodniczył Ambroży Thomas.

Wieniawski przyjmie udział w jednej z trzech uroczystości muzycznych, które urządza we wrześniu w sali Trocadero Mikołaj Rubinstein. Na solistów zaprosił Rubinstein braci Wieniawskich, Vieutempsa i jak się zdaje Barcewicza.

Sonata Wieniawskiego Józefa na fortepian i wiolonczellę in E. Major, nabytą została przez firmę Durand, Schoenewerk i Comp. w Paryżu i niebawem wyjdzie na widok publiczny.

⁂ Poniedziałkowy numer „Nowosti“ donosi, iż kwestya przyjęcia w Rossyi kalendarza nowego stylu ma być rozpatrywaną na zjeździe przyrodników rosyjskich, który ma się wkrótce odbyć. Uczony, który sprawę tę podnosi, opiera się głównie na tem, iż wskutek rozszerzenia stosunków z Zachodem, różnica w stylu przedstawia wiele niedogodności; nadto wszelkie meteorologiczne i nawet astronomiczne obserwacye wykazują prawidłowość nowego stylu. Prócz tego zwraca uwagę na tę okoliczność, że w Królestwie i innych zachodnich częściach państwa, istnieje dwojaki styl, powszechnie przyjęty nowy i urzędowy, stary, co przedstawia wielką niedogodność.

⁂ Pod dyrekcyą p. Lacroix zacznie wychodzić w Paryżu olbrzymie dzieło p. t. Etudes sur l' exposition, które ma objąć dokładny opis postępu dokonanego w ostatnich czasach we wszystkich działach sztuk i przemysłu. W redakcyi tego pomnikowego dzieła przyjmą udział największe znakomitości. Ministrowie handlu, robót publicznych i rolnictwa pomoc przyrzekli rządową dla pomienionego pisma.

Konkursa.

⁂ Akademia madiarska w Peszcie rokrocznie ogłasza konkurs na najlepszą tragedyą. Na ostatni konkurs nadesłano sztuki w fatalnej dla zabobonnych liczbie 13. Sztuki te były gorsze jedna od drugiej. Nie zważając na to, akademia udzieliła nagrodę najmniej złej pt. „Tawora“ z warunkiem, aby autor nie wstydził się publicznego ogłoszenia swego nazwiska, lubo komisya bardzo niekorzystnie utwor jego oceniła. W każdym razie akademia peszteńska łaskawszą jest dla autorów węgierskich, aniżeli dla polskich nasze sławetne komisye konkursowe, które robią oszczędności z pierwszej nagrody nawet wtedy, gdy są utwory najzupełniej na nią zasługujące.

Szkoły.

⁂ P. Deryng otrzymał już stanowcze pozwolenie na założenie szkoły dramatycznej i niebawem takową ma otworzyć w Warszawie.

Podróże.

⁂ Ekspedycya norwegska, która zrobiła wycieczkę na morze Lodowate północne do Hamerfest, przybywszy na czas krótki do wyspy Niedźwiedziej, zostawiła tam listy dla ekspedycyi hollandzkiej. Chociaż zimna nie sprzyjały wycieczce, jednakże roboty projektowane wykonano, i to podobno zadawalająco. Z wszelką jasnością określono granice ciepłego prądu oceanu Atlantyckiego i biegunowego prądu wschodnich części morza Lodowatego.

Wymiary głębokości morza i jego temperatury, dokonane w znacznej odległości od północnych brzegów Norwegii, potwierdziły zauważone pierwej zjawisko, że woda dochodzi do najniższej temperatury nie na dnie, lecz na morskiej stosunkowo głębokości.

Statystyka.

⁂ Ogólna liczba koni na całej kuli ziemskiej ma wynosić, wedle przybliżonych obliczeń statystyków, 58 milionów, oprócz Chin i Japonii, które w obliczenie to nie wchodzą. Z większych państw posiadają koni: Austro-Węgry 3,490,000, Francya 3,000,000, Niemcy 3,350,000, Rosya 21,500,000, Turcya 1,100,000, Wielka Brytania 2,255,000, Stany Zjednoczone 9,500,000, rzeczpospol. Argentyńska 4,000,000, Kanada 2,600,000 Uragwaj 1,600,000.

Zabawy niemieckie

⁂ Lipa, w którą trafiło kilkaście ziarn śrutu podczas zamachu Nobillinga, została otoczoną baryerą. Drzewo to ucierpiało tyle od publiczności a raczej od zbieraczów pamiątek, którzy obrywali liście i korę, że zginęłoby z pewnością gdyby go nie zabezpieczono od napaści.

⁂ Zaczęto zbierać w całych Niemczech składki pod nazwą *Wilhelmsspende*, tj. dar dla Wilhelma cesarza, z powodu jego szczęśliwego ocalenia. Aby każdy mógł wziąć udział w tej składce, ustanowiono, że więcej nad 1 markę przyjętem nie będzie. Cesarz ma z podpisów wiedzieć o liczbie wiernych poddanych. Cała suma będzie wręczoną następcy tronu, który oznaczy, co za nią będzie wyfundowane. Przy zbieraniu tych składek dopuszczono się jednak wielu nadużyć. Naczelnicy posyłają właścicielom domów listy z poleceniem, aby je wraz z swymi lokatorami wypełniali. Właściciele fabryk przesyłają podobne listy swym robotnikom. W szkołach wzywają dzieci do składek. Ustaje tu więc dobrowolność, bo któż się śmie wyłączać od udziału? Dlatego składka ta robi najgorsze wrażenie. Najnieprzyjemniej dotyka ta składka Polaków w Poznańskiem i na Szląsku pruskim; bo odezwa wystosowana do Niemców, którzy wierność swą cesarzowi Wilhelmowi mają okazać. Jeżeliby więc Polak podpisał datek, uważanyby był za Niemca i stałby się zdrajcą swej narodowości. Jeżeli zaś nic nie podpisze, będzie prześladowanym. Niektóre pisma polskie radzą przeto, aby Polacy raczej udziału w składce nie brali.

⁂ Ostatni zamach na cesarza Wilhelma odkrył obrzydliwą stronę charakteru Niemców. Nie sądzono, aby do tego stopnia rozwinąć się u nich mogła zdrada i szpiegostwo, jak się to teraz tam praktykuje. Codzień zdarzają się tam tysiące wypadków, że jeden drugiego oskarża przed sądem za to, że się wyraził przychylnie albo mniej oględnie o ostatnim zamachu. Nawet przyjaciel przyjaciela zdradza i donosi. Tak malarz Piloty w Mnichowie, który cieszył się dotąd sławą pierwszorzędnego mistrza, zdradził swego 80-letniego przyjaciela za to, że tenże nie rachował się ze słowami, mówiąc o zamachu. Starca skazano za to na 8 miesięcy więzienia. Czyn ten oburzył wszystkich do żywego, a akademia malarska we Wiedniu, której członkiem był Piloty, wyrzuciła go ze swego grona.

Pomniki.

⁂ Pomnik Spinozy wkrótce stanie w Hadze. W tych dniach komitet zajmujący się wprowadzeniem w życie projektu, rozstrzygnął konkurs na model pomnika. Pierwszą nagrodę otrzymał p. Fr. Hexamer z Paryża, drugą p. Józef Tüshaus z Düsseldorfu.

Nekrologia.

† Stanisław Strojnowski. Warszawskie pisma doniosły o śmierci Strojnowskiego, nastąpionej w kąpieli, na tak zwanych galarach, dokąd zmarły codziennie zwykł był uczęszczać. Katastrofa nastąpiła w godzinach rannych i pomimo udzielonego ratunku zakończyła się śmiercią.

W chwili zastoju naukowego w kraju naszym Strojnowski odbywał studya na uniwersytecie kijowskim, przygotowując się na wydziale filologicznym do rozległych spraw, jakie później w zakresie geografii podjąć miał dla dobra ojczystego piśmiennictwa. W owej epoce traktowano naukę ze stanowiska humanitarnego, sposobiąc w niej materyały do użytku historyi. Wszystkie podręczniki szkolne (z obcych języków do wykładów miejscowych stosowane) jak Sztajna, Ansarta i Obodowskiego, zajmowały się suchą nomenklaturą miast, gór i rzek. Geografia polityczna była koroną tego poglądu nie sięgającego daleko.

Strojnowski pojmował geografią inaczej. Opisanie ziemi, było szerokiem polem do badań, które tylko w związku z naukami ścisłemi, do skutku doprowadzić mogło. To też jeszcze w uniwersytecie oddawał się im z zapałem, szczególniej astronomii, oraz geografii fizycznej. Tak sposobiąc powoli materyały, ułożył znakomitą pracę p. t. „Geografia,“ w Warszawie, 1865. Wyborna przedmowa, w druku przez cenzurę zmodyfikowana, wskazała cel, do którego autor dążył, podmowa określiła przebieg jego pracy. W dziele nie ma cytat, lecz dosyć jest okiem rzucić, aby ocenić niepospolite studya, do jego budowy podjęte.

Była to pierwsza praca nieboszczyka, po której ani na chwilę nie ustawał. Pisał głównie w kierunku historycznym; chociaż dzieła jego późniejsze, niepodobne są do pierwszej pracy. Kiedy w geografii znajdujemy kierunek niezależny i wolnomyślny, w innych dziełach znać, iż autor uległ szkodliwym wpływom wstecznictwa, skutkiem którego zmienił sposób myślenia. Do kategoryi tych płodów należy sprawozdanie z procesu Kolasa, krytyka dzieł Goetego i Kluna, wreszcie artykuły drukowane w Encyklopedyi kościelnej, oraz innych czasopismach.

Strojnowski był wybornym stylistą i na sta-

rych wzorach wykształcony pisał jasno i zwięźle, słowem na książkach jego można się było uczyć, to też Hoesick skorzystał z głębokiej nauki niebosz czyka, powierzywszy mu skompilowanie geografii dla młodzieży, która w 3 tomach p. t. „Ziemia i jej mieszkańcy,“ przez niego przygotowaną została.

Strojnowski tłumaczył wiele artykułów do Encykl. kościel. z niemieckiego, dzieła Hübnera (Sixta V) oraz Olisier (Aleksandra Borgio) z francuskiego. Wreszcie posiadając dokładnie język włoski, dokonywał z niego przekłady. W rękopismach po nieboszczyku został zwój przekładów i prac oryginalnych.. warto aby ktoś pomyślał o ich wydaniu.

Strojnowski był autorem map, z których mapa Europy na 4 arkuszach doczekała się niedawno nowego wydania.

ROZMAITOŚCI.

*** Upały w niektórych okolicach Ameryki dochodzą od dni kilkunastu do nadzwyczajnej, niebywałej siły. Według telegramów „Timesa,“ zwłaszcza w dolinie rzeki Missisipi i w krajach północno-zachodnich, upał dochodził od 102 do 110 stopni Fahrenheita w cieniu, co odpowiada 34 stopniom Réaumura. W St.-Louis zachorowało skutkiem tego 1,500 osób z których około 150 umarło. Wszelka służba publiczna, jako też interesa prywatne nawet, jak np. handel, musiały być przerwane, lub załatwiane w nocy. W wielu okolicach południowych Missouri i Kauzas musiano żniwa odrabiać przy księżycu. W Obiga Jowa i t. d. termometr Fahrenheita wskazywał 101 stopni o zachodzie słońca, w cieniu. W Chicago jednego dnia (zeszłej środy) naliczono 103 wypadki porażenia od słońca, z których 31 spowodowały śmierć. Prawie ta sama temperatura panuje w Kanadzie i Wirginii.

*** Sprawa o tużurek.

Pan Paweł z panem Józefem dzielili wspólnie dolę i niedolę kawalerskiego żywota

Mieszkali razem, w jednem chodzili odzieniu, w jednej jadali restauracyi, z jednej szklanki pijali herbatę, jedną łyżeczką mięszali i t. d.

I byliby tak przeżyli wiek cały w braterskiej zgodzie, gdyby nie to, że wspólka zadaleko się posunęła. Oto obaj zakochali się w jednej sąsiadce. W tym względzie już nie mogli się zgodzić. Powstała więc zawiść wzajemna, i dwaj ajaksowie musieli rozstać się ze sobą.

Powstał z początku spór, kto ma zostać w mieszkaniu, a kto się wyprowadzić.

Obaj chcieli pozostać, gdyż obu nęciło miłe sąsiedztwo.

Ponieważ atoli pan Paweł był lokatorem, a pan Józef sublokatorem, przeto drugi musiał ustąpić pierwszemu.

Ustępując, zabrał z sobą nowiusieńki tużurek.

Pragnąc rzecz dobrze zrozumieć, należy cofnąć się w przeszłość. Widzimy oto dwóch przyjaciół naradzających się nad zdobyciem przyzwoitego przyodziewku. Jednozgodnie zdecydowali, iż nowy tużurek jest rzeczą niezbędną i niezwłocznie kupić go należy. Ponieważ zaś po obliczeniu funduszów przekonali się, iż na dwa tużurki nie stanie pieniędzy, postanowili więc nabyć jeden, wspólnym kosztem, dla wspólnego użytku.

Jak postanowiono, tak i zrobiono.

Poczciwy Mosiek wziął z góry 10 rs., resztę zaś należności rozłożył na raty, pobierając takowe miesięcznie.

Po upływie kilku miesięcy, dwaj przyjaciele stali się prawnymi współwłaścicielami tużurka. Używali go naprzemian w dnie świąteczne, każdy świętował co dwa tygodnie. Gdy przyszła kolej na Pawła, Józef siedział w domu i na odwrót.

Otóż gdy się dwaj przyjaciele rozstawali, niepodobna było dzielić rzeczy, która jest prawnie i fizycznie niepodzielną.

Powstał spór.

Pan Paweł zapozwał pana Józefa do sędziego pokoju, żądając zwrotu tużurka.

Na poparcie swoich pretensyi, przedstawił świadka, który widział go paradującego po ulicy w spornym tużurku.

Pozwany powołał się na świadectwo krawca, który zeznał, iż tużurek był wspólną własnością stron.

Spór zaiste trudny był do rozstrzygnięcia.

Sędzia pokoju zadecydował jednakże, aby tużurek został u tego, który w chwili rozpatrywania sprawy był jego posiadaczem, to jest u pana Józefa.

*** Mówią o urządzeniu Wystawy międzynarodowej nauk stosowanych, którąby nastąpiła zaraz po wielkiej wystawie 1878 r. i trwała od lipca do listopada 1879 r.

Założyciele poparci gorąco przez rząd, chcą wystawę utworzyć tak wielką o ile tylko będzie można, a świadczy o tem bardzo wymowny program. Dzielić się będzie na 68 klas zawartych w 9ciu następujących grupach: 1) Wiadomości przedhistoryczne, antropologia etc. 2) Chemia 3) Fizyka. 4) Mechanika zastosowana do przemysłu. 5) Mechanika zastosowana do pociągów. 6) Nauki przyrodnicze. 7) Nauki matematyczne. 8) Geologia. 9) Dzieła drukowane i manuskrypta.

Ze wszystkich stron nadsyłane już są zgłaszania, które będą uwzględniane dla wystawców francuzkich do 20. stycznia, a dla zagranicznych do 20. marca 1879 r.

*** Nowy Matuzal. Zdaje się, że klimat amerykański sprzyja długowieczności. Doktor Hezmandry z Bogotu, wynalazł starca, liczącego 180 lat wieku. Ten patryarcha jest dzierżawcą wiejskim, zowie się Miguel Solis i mieszka w Sarra Mozilla. Nie jest on dość pewnym wieku i „ujmuje sobie lat,“ bo najstarsi ludzie w okolicy opowiadają doktorowi, że kiedy byli dziećmi, Miguel uchodził już za stuletniego, i że nazwisko jego figuruje na składce na zbudowanie klasztoru św. Sebastyana w 1712. Doktor znalazł go przy pracy w polu, jest on siwy, ale wygląda zdrowo i szczególnie wzrok jest bardzo żywy, przenikający. Jako sposób do życia stu i więcej lat, podaje on tylko nie upijać się nigdy, nie jeść za dużo.

*** Część popiołów Krzysztofa Kolumba odnalezionych w katedrze San Domingo na wyspie Haiti dnia 10. września 1877 r. została ofiarowaną Genui, rodzinnemu miastu tego wielkiego męża.

Popioły te są zamknięte w kryształowej puszce, a na niej czytamy wypisany złotemi literami następujący napis:

„Popioły nieśmiertelnego Krzysztofa Kolumba odkryte w katedrze San Domingo d. 10. września 1877 r. Miastu Genui ofiarują życzliwi synowie G. Gio. Batt. i Lugi Cambraso.“

Krzysztof Kolumb umarł w mieście Walladolid r. 1506 mając lat 64. Zwłoki jego zostały przeniesione do Sewilli, a w kilka lat później na wyspę Haiti, która jest drugą z rzędu ziemią odkrytą przez Kolumba podczas pierwszej jego podróży do nowego świata.

*** Turniej szachowy, który miał miejsce w Paryżu, rozegrał się 24. lipca. Nagrody otrzymali:

Pierwszą nagrodę, kubek z porcelany serwskiej wartości 4.000 franków, wazon wartości 1.800 fr. i 1.000 fr. gotówką, otrzymał p. Zukertort, urodzony w okolicy Rygi, rodzice jego byli Niemcami.

Drugą nagrodę, wazon wartości 1.850 franków i 500 fr. gotówką, otrzymał p. Winawer z Warszawy.

Trzecią 1.500 fr. gotówką dostał p. Blackburne z Anglii.

Czwartą 1.000 fr. gotówką p. Mackenzie naturalista amerykański.

Piątą 400 fr. gotówką, p. Bird z Londynu.

Szóstą 200 fr. gotówką p. Anderssen z Wrocławia.

*** Znaliśmy dotąd raj chrześciański, mahometański i raj Indów. „Tagblatt“ wiedeński donosi nam o istnieniu jeszcze czwartego raju Hanaków.

Jest to góra z tartych pierników, w koło której płynie rzeka z roztopionego szmalcu. Na brzegu tej rzeki leżą Hanaki z brodą opartą na rękach i otwartemi ustami. Na szczycie góry aniołowie gotują gałki w kotle tak wielkim jak krater wulkanu. Inni aniołowie staczają te gałki po pochyłości góry, gdzie pokrywają się tartymi piernikami, następnie wpadają do rzeki ze szmalcu a nareszcie do ust Hanaków, przy czem chór aniołów spiewa ulubione ich melodye.

Ale rozkosze rajskie nie kończą się na tem, wieczny deszcz z piwa i wódki pada bezustannie w otwarte usta Hanaków, nie unosząc wcale reszty ich ciała.

GASTON DE VANNIER.

Nowella.

Dnia 14 Frimaire roku II., młoda i piękna kobieta przechodziła ogrodem *Palais-Egalité;* zgrabna jej postać zwracała na siebie uwagę wszystkich czytających i sprzedających dzienniki po jednym sou, którzy za ukazaniem się jej przerywali monotonne swe zajęcie.

Od czasu do czasu nadobna nieznajoma zatrzymywała się, kupowała dziennik, składała go starannie i chowała do mufki mówiąc:

— Przeczytam go w domu.

Tak samo wstępowała do sklepików księgarskich, kazała sobie podać najświeższą broszurę polityczną i podobnież umieszczała ją w mufce tak jak ustawia się książki na półkach biblioteki. Ostatnia jej stacya była pod N. 1. w galeryi, zajmowanym przez księgarza Daseresse, wydawcę dzieł Kamilla Desmoulins, i znikła następnie wśród ogólnego zachwytu wszystkich obecnych zajętych żwawą dysputą o ostatniem posiedzeniu konwencyi, i licznych aresztowaniach zarządzonych przez komitet bezpieczeństwa publicznego.

Młoda kobieta, tak powszechną zwracająca uwagę, rzeczywiście była piękną.

Owalna jej twarzyczka odznaczała się najczystszemi rysami greckiemi, a bujne warkocze blond włosów tem lepiej uwydatniały bladoróżową delikatną jej cerę. Co jednak wyróżniało ją i uwagę w pośród wszystkich innych kobiet, to jakiś nieokreślony a wiejący z niej powab pańskości, niezatarte znamię wrodzonej arystokracyi, przebijającej w każdym najmniejszym jej ruchu, w każdem słowie, a w owych czasach zupełnego zrównania stanów, szczegół podobny mimowolnie rzucał się wszystkim w oczy.

Minąwszy pałac *Egalité*, młoda kobieta uliczkami, widocznie dobrze jej znanemi, dostała się na plac Bastylii. Tam zatrzymawszy się przez chwilę dla zebrania myśli, zwróciła się wprost do domu o dość skromnej powierzchowności, zajmującego jeden z narożników placu, i lekką stopą wbiegła na czwarte jego piętro.

Dom ten znali doskonale wszyscy nieszczęśliwi; mieszkał w nim bowiem doktor Souberbielle, którego nazwisko chlubnie zapisanem zostało w dziejach chirurgii medycznej. Złączony związkami najściślejszej przyjaźni z Robespierem, Souberbielle nie chciał przyjąć żadnej posady publicznej, oprócz miejsca sędziego przysięgłego w trybunale rewolucyjnym, a całego wpływu swojego używał na ocalenie niewinnych i obronę słabych.

Izabella de Valnave — takie było nazwisko panienki, której towarzyszyliśmy od pałacu Egalité — pukając do drzwi doktora Souberbielle, nie wchodziła do osoby nieznanej sobie.

W lepszych dla arystokracyi czasach, kiedy zajmowała jeszcze wspaniały pałac rodzinny na wyspie Św. Ludwika, miała sposobność poznać bliżej znakomitego doktora, który pielęgnował podeszłego jej ojca, dotkniętego ciężką, nieuleczoną słabością.

Doktor Souberbielle od chwili pierwszej znajomości zachwycony był niezrównanym wdziękiem i siłą charakteru panny de Valnave, którą w zapale swym zwykł był porównywać z Rzymian Porcią. I dziś też powitał ją z serdeczną uprzejmością i natychmiast spełnił jej żądanie. Szło jej o uzyskanie pozwolenia odwiedzania jednego więźnia, osadzonego w więzieniu la Force. Jako członek trybunału rewolucyjnego, Souberbielle miał nieograniczoną władzę nad wszystkiemi więzieniami paryskiemi i używał jej tylko dla niesienia ulgi nieszczęśliwym ofiarom rewolucyi.

Uzyskawszy piśmienne zezwolenie, Izabella pospieszyła do więzienia la Force. Przed podpisem znanego powszechnie ze swej władzy i charakteru doktora Souberbielle, wszystkie drzwi się otwierały, wszystkie usuwały przeszkody.

Jednocześnie na widok młodej dziewicy, każdy przejęty był szacunkiem; i tu mimowolnie oddawano cześć nie nanej jakiejś potędze: w la Force podobnież jak w Palais Egalite, schylały się kornie głowy w obec prawdziwie pańskiej dystynkcyi, w obec tylu wdzięków i uroku młodości.

Jeden tylko opryskliwy dozorca, który przybrał sobie imię Grachusa (jakby mógł istnieć jakikolwiek punkt styczności pomiędzy apostołami i męczennikami wolności a podrzędnym tyranem więziennym) podejrzliwem okiem spoglądał na Izabellę. Grachus należał do rodzaju tych na wpół dzikich istot, napotykanych w najniższych sferach naszego społeczeństwa, co na podobieństwo zwierząt dzikich posiadają właściwy sobie instynkt, przestrzegający je o grożącem im niebezpieczeństwie. Nie śmiał on

dotknąć panny de Valnave, osłonionej potężną protekcyą doktora Souberbielle, a jednak wrodzony ów instynkt szeptał mu w duchu, że osoba jej sprowadzi nań jakieś nieszczęście. Przemyśliwając nad tem, i nie mówiąc ani słowa, wprowadził ją na główny korytarz, gdzie znajdowała się cela N. 114. do której miała wstęp wolny.

Kiedy wielki klucz zaskrzypiał dwukrotnie w zamku a ciężkie, grube drzwi rozwarły się do połowy, a młoda dziewica i więzień wpadli sobie w objęcia, ściskając się i całując w niemem upojeniu, zimny dozorca zadrżał aż do głębi oschłego serca. Pomyślał o swojej żonie i dzieciach i jak winowajca, cofnął się po cichutku, odgadując instynktowo, że zbytecznem byłby tu świadkiem.

Więźniem z pod numeru 114. był piękny, dwudziestopięcioletni młodzieniec, nazwiskiem Gaston de Vannier. Wyniosłe czoło jego zdradzało wyższe zdolności umysłowe a wilgotne i błyszczące oko zapowiadało, że człowiek ten z namiętnością przywiązuje się do przedmiotu, który raz ukocha. Gaston występował na polu publicznem, jako jeden z najgorliwszych pionierów wolności; wzruszony następnie nieszczęściami, jakie dotknęły rodzinę królewską, a zwłaszcza dla tej pięknej cudzoziemki, królowej i matki, której tron zamienić się miał w rusztowanie; nie pomyślał na jakie naraża się niebezpieczeństwo i z całym zapałem wystąpił w obronie nieszczęśliwej Maryi Antoniny. Na trudnej wszakże tej drodze, najeżonej niebezpieczeństwami, spotkać go również miała najwyższa radość i pociecha.

De Vannier był zarazem poetą i publicystą. Pisywał on liczne broszury, w których zbijał i odpierał gorąco oszczerstwa i potwarze rozsiewane przez nieprzyjaciół królowej. Jedna właśnie z tych broszur, pisanych żywo bo pisanych sercem, zbliżyła go z Izabellą de Valnave, która również kochała Maryę Antoninę i wszystko gotowa była poświęcić dla jej ocalenia.

Gaston pochodził ze stanu mieszczańskiego, kiedy rodzina Izabelli należała do najpierwszych arystokratycznych domów Francyi. W innych czasach stanowiłoby to niezwalczoną przeszkodę do jakiegokolwiek zbliżenia się pomiędzy nimi, ale w owej ciężkiej epoce, nieszczęście równało stany i usuwało wszelkie przeszkody, a wszystkich walczących pod wspólnym sztandarem, uważano za braci.

Gaston więc i Izabellla widywali się prawie codziennie. Z początku mówili tylko o królowej, naradzali się nad środkami ujrzenia jej, aby ją uwiadomić, że są jeszcze przyjaciele, którzy czuwają i myślą o jej obronie a może i o ocaleniu — a z rozmów tych wywiązała się wkrótce miłość, tem silniejsza, że ukrywająca się pod osłoną najgłębszego szacunku.

Po upływie kilku dni — dnie w owych czasach strasznie były długie — młodzi ludzie nie mogli obejść się jedno bez drugiego; spotykali się rano, widywali wieczorem, a częstokroć i dzień cały schodził im na wspólnej rozmowie; gdy niespodziany wypadek, dość zwykły zresztą w Roku II-gim zachmurzył wschodzące słońce ich szczęścia.

Za jedną z ostatnich broszur Gastona, wydano nań rozkaz aresztowania i osadzono go w la Force. Od trzech dni biedny młodzieniec męczył się w tem więzieniu. Żywa jego i rozogniona wyobraźnia burzyła się z nudów i tęsknoty miłosnej, a nie miał komu powierzyć swych cierpień, nie miał nawet ani książek, niejednokrotnie będących najmilszymi naszymi powiernikami. Izabella ze swej strony, po trzech dniach dopiero najusilniejszych poszukiwań i starań, dowiedzieć się mogła o miejscu więzienia młodzieńca.

W ciągu tych trzech dni ona także jedynie o Gastonie myślała; od trzech dni imię to, a raczej osoba nosząca ją, zajmowała wszystkie jej myśli. Ile też oboje mieli do wypowiedzenia, ile powiedzieli sobie w tym pierwszym uścisku, w pierwszym pocałunku!

Nakoniec odzyskali możność mówienia; zasiedli obok siebie na maleńkiej ławeczce więziennej i ręka w rękę, oko w oko, zaczęli rozmawiać.

— Powiedz mi Gastonie, czy te trzy dni przebyte w oddaleniu odemnie, bardzo długiemi ci się wydały?

— Wydawały mi się trzema wiekami, najdroższa moja Izabello! Ale nie odwracaj pięknych swych oczu, patrz na mnie; Boże! jakże ja cię kocham! Wolno mi więc wyznać ci to, Izabello, po trzech ciężkich wiekach samotności, po tych trzech dniach gorączki i cierpień!... Ale już to wszystko minęło; ty jesteś obok mnie, jam szczęśliwy! więzienie wydaje mi się rajem!

— Że jednak niedługo zmuszona będę odejść, Gastonie, abyś i więc nie bardzo niecierpliwił czekając do jutra, przyniosłam ci kilka książek i dzienników.

— Jesteś aniołem dobroci, Izabello! kocham cię, uwielbiam!

I młody człowiek objął wysmukłą kibić dziewicy i pieścił się z jej blond włosami; ona pieszczotą odpłacała mu za pieszczoty.

— Jutro przyjdę znowu — szeptała — i tak przychodzić będę codziennie; a gdy mnie tu nie będzie, rozerwiesz się czytaniem. Oto masz tu: Siódmy buletyn *Oskarżyciela publicznego*, *Rady patryoty* Palloy, broszurę napisaną przez Matton de la Varenne, inną znowu pióra Kamila Desmoulins....

I jedną po drugiej wyjmowała z mufki, wszystkie książki i dzienniki zakupione w Palais-Egalité. Wydobyła również kilka małych arkusików papieru, pióra i kałamarzyk kieszonkowy. Za każdy oddzielny przedmiot Gaston nową dziękował pieszczotą, świeżym pocałunkiem. Ale gdy w końcu Izabella wyjęła z tejże mufki wielki kawał płótna, które po przykryciu pod siennikiem miało stanowić kryjówkę przyniesionych skarbów, młodzieniec nie mógł powstrzymać wybuchu zapału i podziwu:

— Anielska Izabello! — zawołał tuląc ją do piersi — wszystko więc przewidziałaś, o niczem serce twe nie zapomniało!

Zaledwie szycie zostało ukończone, książki pochowane a siennik napowrót na właściwem miejscu położony, Grachus ukazał się na progu celi i oświadczył młodej kobiecie, iż czas już się oddalić. Wzrok jego był mniej przykry teraz, a i głos swój nawet usiłował złagodzić.

Wierna swemu przyrzeczeniu, Izabella powróciła nazajutrz i również przyniosła wielki zapas broszur i ulotnych pisemek. Toż samo powtarzało się i dni następnych. Gaston cierpliwie znosił nudy więzienne; w obecności dziewicy zapomniał o więzieniu i grożących niebezpieczeństwach, myśląc tylko o ukochanej i upajając się wspólną miłością; gdy się oddaliła, czytał dzienniki i broszury, pisywał listy do najdroższej, albo też wysilał głowę nad tworzeniem na jej cześć sonetów i madrygałów.

W ten sposób dziesięć dni upłynęło. Mufka sumiennie spełniała swoje posłannictwo; a z każdym dniem Izabella coraz większe uszanowanie wzbudzała w strażnikach więziennych.

Nagle czwartego dnia trzeciej dekady, cały ten kunsztowny budynek, z takim trudem zbudowany, zagroził ruiną.

Panna de Valnave i Gaston de Vannier, gruchali miłośnie siedząc jak zwykle na maleńkiej ławeczce więziennej, gdy wszedł Grachus do celi. Odbywał on właśnie miesięczną rewizyą sienników. Zbytecznem byłoby mówić jakim strachem czynność ta przejęła serca dwojga kochanków. Izabella pierwsza odzyskała przytomność. Groźne niebezpieczeństwo natchnęło ją odwagą, na jaką tylko kobiety zdobyć się umieją w chwilach stanowczych. Grachus tymczasem przetrząsając siennik, znalazł w nim przedmioty zakazane, a na widok ten w oczach jego zapłonęły błyskawice gniewu.

— Spodziewałem się tego! — zawołał wyciągając jedno po drugiem pisma przyniesione przez pannę de Valnave. Ja zawsze mówiłem, że arystokraci tylko spiskować umieją! Ale basta! Grachus czuwa i Grachus spełni swój obowiązek! Nieszczęśliwi! sprzysięgliście się więc na zgubę Rzeczypospolitej! ale zapomnieliście, że jest tu Grachus, który oskarży was przed Komitetem bezpieczeństwa publicznego, a tam już postarają się aby odebrać wam chętkę spiskowania!

— A tobie kto powiedział — przerwała mu nagle Izabella, z przepysznie udanem oburzeniem — że my spiskujemy przeciw Rzeczypospolitej! Kto ci powiedział, że te książki należą do obywatela Gastona? Dlaczego niemiałyby one być własnością którego z więźni poprzednio w tej celi przebywających?... Umieszże czytać, przynajmniej, aby przekonać się o tem?...

Izabella wiedziała, że Grachus był jednym z dość często zdarzających się dozorców więziennych nie umiejących czytać ani pisać, i ciągnęła dalej z wzrastającym zapałem:

— Zresztą, głównym winowajcą w tej sprawie, ty sam tylko jesteś, że wbrew prawu, pozwoliłeś sprowadzić tu taką masę książek — i to ja oskarżę cię przed komitetem bezpieczeństwa, jako urzędnika niezasługującego na zaufanie. Mnie uwierzą, bo mnie znają, a wówczas biada tobie Grachusie, żeś ośmielił się nadużyć zaufania ludu!

Gaston nie odzywał się wcale. Grachus zgnębiony stał przed dziewicą, jak zbrodniarz w obec trybunału.

A ona, jakby chcąc wykonać swą groźbę, podała Gastonowi rękę na pożegnanie i zabierała się do odejścia, kiedy dozorca powstrzymał ją. Zatrzasnął gwałtownie drzwi na wpół uchylone, i padając przed nią na kolana, rzekł błagalnym głosem:

— Obywatelko! nie gub nieszczęśliwego ojca rodziny; miej litość nademną i nad mojemi dziećmi! Jeżeli stracę to miejsce, z głodu poumierają, a komitet bezpieczeństwa publicznego, nie umie przebaczać. Zaklinam cię, obywatelko, nie gub Grachusa, a Grachus wdzięcznym ci będzie za to przez całe życie! Ja sam powynoszę te książki, zniszczę wszystko i ani śladu z nich nie będzie.

Nie tego chciała panna de Valnave. To też odpowiedziała przestraszonemu dozorcy również stanowczym chociaż mniej już gniewliwym głosem:

— Nie ma co mówić, śliczny wymyśliłeś sposób! Ale posłuchaj mnie: żal mi twojej żony i twoich dzieci; ocalę cię, jeżeli zrobisz to co ci powiem.

— Słucham; wykonam wszystko co rozkażesz, obywatelko.

— Najprzód nie wspomnisz nikomu ani słówka o znalezionych tu książkach. Ja codziennie zabiorę kilka i wyniosę je w mojej mufce; w ten sposób, po niejakim czasie wszystkie znikną i ty będziesz ocalony.

Grachus zgodził się na tę propozycyą. Izabella rzeczywiście wynosiła codziennie po kilka książek; ale, że za każdym razem przynosiła świeże, zapas nie zmniejszał się wcale. Grachus z niespokojem i trwogą wyczekiwał chwili, w której nie będzie śladu jego zbrodni.

Rozumie się, że najlepiej na tym układzie wyszedł Gaston, miewał bowiem zawsze najświeższe pisma, bez narażania się na przepełnienie siennikowej biblioteki, i zajmującem czytaniem osładzał sobie długie chwile pomiędzy jedną a drugą wizytą Izabelli. W jej obecności zapomniał o wszystkiem. W jej obecności mury celi więziennej, wspanialszemi dlań były od pałaców królewskich, gdyż wśród nich widział tylko ukochaną kobietę, a wzajemna ich miłość z każdym dniem wzrastała.

Tymczasem i doktor Souberbielle w protekcyi swej nie ograniczał się na dozwoleniu pannie de Valnave wstępu do gmachu więziennego. Zbadał sprawę Gastona, a przekonawszy się, że oprócz kilku wyrażeń nieprzychylnych umieszczonych w broszurze, nie było tam żadnego faktu zbrodni przeciw *majestatowi bezpieczeństwa publicznego*, użył wszelkich swoich wpływów, nie szczędził starań i zachodów, aby wyjednać dla oskarżonego wyrok uniewinniający — i dokazał swego, co na owe straszne czasy, było nadzwyczajną rzadkością. Wdzięczność tej dwojga kochanków dla zacnego doktora nie miała granic.

W kilka tygodni po opuszczeniu więzienia, Gaston de Vannier zaślubił pannę Izabellę de Valnave, a hojnie wynagrodzony przez nich Grachus gotów był wszem wobec i każdemu z osobna przysiądz, że arystokraci nigdy o spiskach nie myślą.

J. Mery.

Treść Nr. 50.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.)

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.